Nowy Bajm? str. 10-11

Finał sprawy p. Kawecki contra red. Harasimiuk str. 10-11

Ucieczka „Jakiem 12" ŚWIDNIK - TEMPELHOF str. 12

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Rok założenia 1933

kamena

NR 11 (804) 20 maja - 2 czerwca 1984 CENA 10 ZŁ

MONTE CASSINO
w kręgu prawdy i legendy

Mieczysław Wieliczko

Nasze granice naszli znienacka,
słupy graniczne zewsząd zrąbali...
Idzie Kresowa, idzie Karpacka
w dymie eksplozji, w huku batalii...
Nasze granice? „Póki żyjemy",
wszędzie, gdzie nasi walczą i giną.
Gniewnie idziemy, krwawo idziemy,
nasze granice w Monte Cassino.

(Władysław Broniewski, 1944)

Na prawym brzegu Volturno, jej dopływu Rapido oraz Garigliano, płynących do Morza Tyrreńskiego, i Sangro zmierzającej do Adriatyku, rozpoczyna się wypiętrzenie Apeninu Środkowego. Ostro, od doliny Rapido i jej dopływu Gari (50-60 m npm. w ich widłach leży miasteczko Cassino), teren wznosi się w linii prostej na długości 600 m do wzgórza o wysokości 516 m, na którym w VII w. zbudowano potężne mury klasztoru św. Benedykta. To Monte Cassino. Dalej, niespełna kilometr, na wyższym tarasie są wzgórza 563 i 593 (tu słynna z bitwy „Gardziel") i San Angelo o wys. 607 m (na którego skrzydle jest bitewne „Widmo"), a stąd łęk do 500 m i tuż wypiętrzone Passo Corno ze szczytami 893 m, 912 m, 945 m. O 2 km dalej już Monte Cairo z wys. 1 669 m górującą nad całą tą grupą wzniesień.

Na południe od tego masywu ciągnie się szeroka na 6-8 km dolina opadająca do brzegu morza, dolina rzeki Liri z linią kolejową i drogą Neapol — Rzym (Via Casilina w wojennej nomenklaturze droga nr 6), czyli strategicznym ciągiem komunikacyjnym z południa do Włoch środkowych.

W odległym okresie powstawania górotworu potężne siły przyrody utworzyły tu na pow. 10-12 km² wszystkie dosłownie kształty deformacji tektonicznej fałdu, o różnej wielkości i kątach nachylenia utworów wapiennych z mezozoiku i trzeciorzędu, skał twardych, krystalicznych o barwie biało-żółtej i czerwonawej. Człowiek przez stulecia trudu i pracy w tej krainie „uporządkował" owe wybryki natury, budując tarasowate poletka uprawne, zakładając sady i ogrody, wydeptał ścieżki łączące samotne siedziby upartych pasterzy i wytrwałych rolników, ścieżki zakosami idące ku szczytom. Stąd poletka, gaje oliwkowe i pobocza ścieżek odgradzały murki lub składowiska rumowiska skalnego.

Strategiczną doniosłość tego terenu dostrzegli Niemcy w 1942 r., rozpoczynając tu pierwsze roboty fortyfikacyjne, które z wiosną 1943 r. przybrały na tempie i rozmachu. Powstawał system umocnień (tzw. Winterstellung), rozbudowywanych w poprzek przewężenia Półwyspu Apenińskiego, w dwóch pasach obrony zwanych „linią Gustawa" (od Ortone nad Adriatykiem poprzez Castel di Sangro do Cassino) oraz „linią Hitlera" (od Passo Corno przez S. Oliva do Terracina). Passo Corno stanowiło więc skraj tej linii przesłoniętej załomem „linii Gustawa" z dominującym nad doliną Liri i Rapido klasztorem Monte Cassino. Tu w masywie Monte Cassino niemiecka pozycja była najbardziej rozbudowana. Dziki, poszarpany, górski teren, pełen pieczar, pochylonych i obalonych fałdów skalnych, rozrzuconych wachlarzowato ku dolinom strumieni i rzek, został „uzbrojony" żelbetonem bunkrów, zamaskowanych gniazd oporu, ukrytych stanowisk baterii dział i stromotorowych moździerzy, osłoniętych stalowymi płytami pancerzy i workami z piaskiem. Obok tego wmontowano — wkuto w litą skałę pancerne wieże z ciężką bronią maszynową, albo samotne armaty strzelające ogniem na wprost. Rozbudowano zapory fortyfikacyjne, płoty bądź sieci kolczaste, miejscami wprost całe wysypiska kolczastej koncentriny i głębokie pola minowe. Na przeciwstokach ścian skalnych wbudowano dobrze wyposażone, nawet kilkupoziomowe schrony o stropach odpornych na przebicie najcięższymi bombami, schrony dające pełną ochronę i warunki wypoczynku.

Ten „rozmach" fortyfikacyjny pozwolił Niemcom na zmontowanie systemu ognia niczym z podręcznika balistyki! Przygotowali ogień artyleryjski wstrzeliwany i rażący, dokładny i zmasowany, podobnie jak ogień różnych typów moździeży. Broń strzelecka, w zależności od stanowisk i sytuacji bojowych, mogła prowadzić ogień ciągły, czołowy i na wprost, posiewany i punktowy. Każdy metr powierzchni na szerokości 6 km i głębokości 3 km był rażony ogniem stromo- lub płaskotorowym, ryglowym i flankującym. System ten pozwalał na manewrowanie, tworzenie wyniszczających zapór ogniowych lub koncentrację na przedpolu w dowolnie wybranym rejonie, bez względu na pogodę i porę doby.

W tym miejscu kończy się pierwszy wątek prawdy, rozpoczyna nić legendy o bitwie, bowiem propaganda Goebbelsa nie darmo „ochrzciła" ten odcinek przyszłego frontu imieniem Hitlera: alianci tej linii nie przejdą, jest to tarcza Rzeszy od południa, zapewni panowanie Mussoliniego w Republice Salo — donosiła berlińska prasa.

Do działań na Półwyspie Apenińskim sprzymierzeni przeznaczyli 15 Grupę Armii (gen. H. Alexander) złożoną z 8 A bryt. (d-ca gen. L. Montgomery, potem gen. O. Leese) i 5 A amer. (gen. M. Clark) o łącznej sile 16 dyw. piech., 2 panc., 1 spad. i 4 bryg. panc. z lotnictwem ok. 4 tys. samolotów. Na początku września siły niemieckie we Włoszech obejmowały ok. 17 dyw., w tym pancerne, spadochronową i zmotoryzowane. 3 września 1943 r. w rejonie Reggio di Calabria alianci wylądowali, 9 września zajęli Tarent, Salerno, potem Foggia. Niemcy po nieudanych

Dokończenie na str. 8—9

Odznaki 3 Dywizji Strzelców Karpackich

— pamiątkowa

— rozpoznawcza

z notatnika

2 V. W ciekawie redagowanym tygodniku katowickim „Tak i Nie" pouczający artykuł pt. „Zmarnowane mięso". „Jesteśmy — pisze autorka, Hanka Jarosz-Jałowiecka — takim dziwnym krajem, w którym rośnie... bydło bez polędwic, świnie zaś mają schab w zaniku. Co dziwniejsze, nawet importowane tusze wołowe i wieprzowe po przejściu naszych granic też tracą polędwicę i co cenniejsze kawałki, w każdym razie z dokumentacji niektórych zakładów wynika, że te biedne zwierzęta składają się głównie z mięs poślednich gatunków. Tak na przykład z danych NIK wynika, że w Zakładach Mięsnych w Zabrzu w IV kwartale ubiegłego roku zaniżono otrzymywanie lepszych gatunków mięs o następujące ilości: schabu o ponad dziesięć i pół tysiąca kilogramów, karkówki o ponad 10 tys. kilo, polędwicy wieprzowej o ponad 3,5 tysiąca kilogramów i wołowej o 586 kilogramów. Proceder ten trwa nadal, bo ponownie w styczniu kontrola znowu wykazała zaniżenie schabu i karkówki o około 1,5 i 2,5 tysiąca kilogramów".

Byłoby ciekawe dowiedzieć się, jak przedstawia się ów problem w naszym regionie? „Sprzedaję" temat koleżance Zosi Rybak z „Kuriera"!

3 V. W starych szpargałach znalazłem, a może lepiej — odkryłem, mój „zeszyt do polskiego" z 1943 roku z czasów tajnego nauczania. Temat jednego z wypracowań brzmiał: „Która z książek przeczytanych w 1942 r. podobała mi się najbardziej". No która? Sam jestem dzisiaj ciekaw. Okazuje się, że pierwsze miejsce zdobyli „Nędznicy" Wiktora Hugo. W zakończeniu wypracowania napisałem: „Czytając tę książkę, jestem wdzięczny Gutenbergowi za wynalazek druku".

„Nędznicy" — „Nędznikami", ale w tymże wypracowaniu stwierdziłem, że w 1942 roku „przeczytałem około 100 książek". Ta liczba bardzo mi dzisiaj zaimponowała. Może ten rekord pobiję będąc już na emeryturze... W tym roku daleko mi jeszcze do 20 książek! Ale kiedy czytać?

Teraz tkwię po uszy w „Czarownicach", czyli dziejach procesów o czary, pióra Kurta Baschwitza. Książka ta, nakładem PIW-u, w liczbie 10 tysięcy egzemplarzy, ukazała się w 1971 roku. Czy nie warto pomyśleć o jej wznowieniu? W obecnych czasach byłaby to bardzo pouczająca lektura, zwłaszcza dla młodzieży!

7 V. W Związku Radzieckim przebywał z roboczą wizytą gen. Wojciech Jaruzelski. Prasa, radio, telewizja szczegółowo informowały o jej przebiegu. Wojciech Jaruzelski i Konstantin Czernienko podpisali w Moskwie program, który do końca naszego wieku nakreśla ramy wzajemnych stosunków handlowych. Program ten ma dla naszej gospodarki kolosalne znaczenie...

Tymczasem na łamach „Literatury" Jerzy Putrament wydrukował swe przemówienie „niewygłoszone na XI Zjeździe TPPR". Putrament pisze (mówi?): „Czy my możemy powiedzieć, że znamy ten ogromny kraj na wschód od Polski? Moim zdaniem nie. Powiedzmy sobie ostrożnie: znamy, ale nie za bardzo. Można powiedzieć, że mimo niezliczonych „pociągów przyjaźni", seminariów, okrągłych stołów, a także stołów prostokątnych, ustawionych w podkowę itd. itp. [...] wiedza ta jest niepełna, szczątkowa, strach powiedzieć, po prostu bałamutna. Wiem, o czym mówię, bowiem mam żonę z Moskwy". I dalej: „Jeśli ktoś gotów jest kochać kraj za drobne napiwki, takiego można i należy zatrudniać na stanowiskach, w których napiwek jest ważny. Ze Związkiem Radzieckim nic nas nie dzieli oprócz pewnej ilości durni. Tych można i należy zatrudniać jako portierów, kelnerów, ba, nawet fryzjerów. Ale od polityki im wara". I jeszcze dalej: „Teraz już i w środowiskach, znanych z wysokiego procentu kopniętych, nie znajdzie się takiego, który by wprost atakował naszego partnera ze wschodu. Jest inna metoda w użyciu: lizusostwo. Zachwycają się filmami ewidentnie słabymi. Aby o tym sądzić, trzeba dobrze znać ten kraj i sądzić bezbłędnie. Zachwycanie się tym, co słabe, jest tą formą propagandy, którą trzeba zwalczać. Dam przykład. Moskwa ma m. in. świetnego okulistę Fiodorowa. Jest wywiad z nim. To świetny profesor, znany na całym świecie. Ratuje wzrok memu przyjacielowi. I nagle mówi do telewizji: „wielcy malarze, jak Rembrandt, Rubens (zdaje się...), Sziszkin..." I nasi to puszczają. Sziszkin to autor obrazków lasów z baraszkującymi niedźwiadkami..."

Dyskutowałbym z Putramentem i nie podzielił jego poglądów, gdy twierdzi, że teraz i w środowiskach znanych z wysokiego procentu kopniętych nie znajdzie się takiego, który by — czytaj wyżej. Tak samo zresztą sprzeczałbym się i z posłem Romualdem Bukowskim, który na posiedzeniu Sejmu 26 kwietnia powiedział, iż wierzy, że „między Odrą a Bugiem nie ma przeciwników socjalizmu" itd. Oczywiście, że poseł Bukowski ma prawo wierzyć również w krasnoludki. Ja ani w to, ani w tamto nie muszę. W pierwszym wypadku nawet bardzo żałuję, że rzeczywistość nie jest aż tak piękna. A krasnoludki też by się przydały. Zawsze one — obok cyklistów — mogłyby ponosić winę za to czy za tamto. Czego chcę od ... cyklistów? — zapyta młodszy czytelnik. Starsi wiedzą!

8 V. Artykuł 42 Ordynacji wyborczej do rad narodowych głosi w punkcie pierwszym: „Wojewódzkie, miejskie, dzielnicowe, miast i gmin oraz gminne kolegia wyborcze poddają wspólne listy kandydatów na radnych ogólnospołecznej konsultacji z wyborcami, organizowanej przez Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego, na przedwyborczych zebraniach wyborców".

Jako kandydat na radnego WRN, a ściślej kandydat na kandydata, uczestniczyłem dzisiaj w takim przedwyborczym zebraniu wyborców w Lubartowie. Odbyło się ono w Domu Kultury, a przybyło nań ok. 70 osób, w tym trzech kandydatów na radnych WRN i ponad dwudziestu kandydatów na radnych MRN.

Nie czyniłem notatek, bo nie nastawiałem się na pisanie sprawozdania, niemniej wspomnieć o zebraniu powinienem.

Trochę za długo, moim zdaniem, trwało referowanie programu wyborczego, a może ściślej zamierzeń — nie tylko inwestycyjnych — na najbliższe lata. W dodatku maszynopis nie był zbyt wyraźny, toteż prelegent kilkakrotnie się zacinał. Prelegent, z zawodu stomatolog, nie należał do wiecowych mówców, co mu zresztą należy zapisać na plus, a nie na minus, bo krzykaczy mieliśmy już dosyć.

Po przedstawieniu kandydatów na radnych MRN wywiązała się ożywiona dyskusja, zastanawiano się, czy udzielić poparcia tym, którzy nie przybyli na zebranie. W tym gronie wszyscy się na ogół znają, niemniej postanowiono w jawnym głosowaniu, aby przedstawiciele kolegium wyborczego porozmawiali z nieobecnymi i tylko w wypadku ich usprawiedliwienia się uwzględnili — po dalszych zresztą zebraniach — poszczególne kandydatury.

W dyskusji dłużej zatrzymano się nad problematyką budownictwa, jako że z mieszkaniami i tutaj krucho. Ktoś powiedział o zbytnim szafowaniu terenami („nie mamy ich tyle, co ZSRR czy USA!"), stawiając jako przykład knajpę, która „zajęła z hektar". Nad restauracją można było wybudować hotel. „Takie oszczędności wcale nam się nie opłacają".

I ja, sprowokowany, zabierałem głos, choć pytanie zabrzmiało żartobliwie („czy red. Jaworski, jeśli zostanie wybrany radnym, doprowadzi do przekształcenia „Kameny" w tygodnik?"). Decyzja o „Kamenie"-tygodniku zapadła już prawie roku temu, ale drukarnia ciągle nie ma mocy produkcyjnych, by podołać zadaniu. To wcale nie jest wybieg, maszyna rotacyjna trzyma się na słowo honoru i może nadejść taki dzień (odpukać!), kiedy nie tylko nie wyjdzie „Kamena", ale i „Sztandar Ludu", czy też „Kurier". Przy drukowaniu poprzedniego numeru „Kameny" widziałem, jakich cudów dokonywał maszynista, aby „podlepić" pęknięty wałek. Należałoby go wymienić, ale skąd wziąć nowy?

Przy okazji powiedziałem w Lubartowie, dlaczego zgodziłem się kandydować. Po prostu chciałbym na naszą administrację spojrzeć z innego niż dziennikarz punktu widzenia. Pisałem na łamach „Kameny" z dnia 14 lutego 1971 r.: „Uczestniczyłem w kilku posiedzeniach Wojewódzkiej Rady Narodowej. Nie zdarzyło się — nie wiem, może tak właśnie trafiłem — aby ktokolwiek przeciw czemukolwiek zaoponował, miał odmienne zdanie od osoby wyżej postawionej w hierarchii służbowej. Taka jednomyślność niepokoi. Bo jednomyślność może oznaczać bezmyślność. Może oznaczać wygodnictwo. I coś jeszcze, czego nie nazwę po imieniu".

W „Sztandarze Ludu" Józef Porębski krytycznie napisał o Bychawie i naczelniku tego miasta. Musiał mieć zapewne rację, bo naczelnik złożył rezygnację. Teraz słyszę, że ów człowiek ma podjąć pracę (a może już podjął?) w Urzędzie Wojewódzkim i to w wydziale instruktażu i kontroli! Czy to nie jest temat do interpelacji w czasie posiedzenia WRN?

Napisałbym więcej, ale nie chcę być posądzony, o to, że na łamach „Kamny" prowadzę kampanię przedwyborczą!

9 V. Trzydziesta dziewiąta rocznica zwycięstwa nad faszyzmem. Właśnie tego dnia mamy w redakcji gości z Niemieckiej Republiki Demokratycznej: dziennikarze z „Neues Deutschland" — red. Gino Heinze, specjalny wysłannik pisma, i red. Detlef-Diethard Pries, stały korespondent w Polsce. Obaj urodzeni już po wojnie; chłonni wiedzy o naszym kraju. Rozmowa, początkowo dość drętwa, zaczyna nabierać rumieńców, gdy przechodzimy do konkretów. Bez ogródek mówię o trudnościach, które przeżywa nasz kraj i o drogach wyjścia z kryzysu, dzielę się też spostrzeżeniami na temat NRD i stosunków między NRD a RFN. Oba państwa niemieckie znam w miarę dobrze, i tu i tam mam przyjaciół. Dyskusja toczy się — jak się mówi w języku dyplomatycznym — w bardzo przyjaznej atmosferze, ale zawiera również akcenty polemiczne. I tak być powinno — wzajemnie nie powinniśmy niczego ukrywać.

Z red. Heinze umawiamy się w Berlinie. W tym roku my obchodzimy czterdziestolecie Polski Ludowej, oni — trzydziestopięciolecie NRD...

11 V. W tygodniku „Wprost" (redakcja w Poznaniu, drukarnia w Łodzi) rozmowa z Mieczysławem F. Rakowskim ilustrowana znakomitymi zdjęciami M. Stachowiaka. Na wstępie wywiadu Grażyna Banaszkiewicz zapytała wicepremiera:

— Ile miał pan lat, kiedy obejmował „Politykę"?

Odpowiedź brzmiała:

— To było w czerwcu 1958 roku, jestem z rocznika 1926, a więc niech pani policzy, trzydzieści... trzydzieści jeden.

O zespole „Polityki" M. F. Rakowski powiedział:

— Nie ulega dla mnie wątpliwości, że ja stworzyłem ten zespół, a zespół stworzył mnie. To była współzależność. Ale w 1980 roku, a zwłaszcza w 1981 — jak wszystkie niemal środowiska twórcze, uległ on poważnemu rozbiciu. Po wprowadzeniu stanu wojennego dziesięciu kolegów opuściło nasz zespół. Ludzie ci nie chcieli ponosić dalszej odpowiedzialności za los pisma. Niektórzy z nich zbyt daleko zaangażowali się w popieranie „Solidarności", przy czym myślę o awanturniczym kursie, który zagnieździł się w tej organizacji. Sporo przecież w prasie było poparcia dla awanturnictwa, sporo rozmodlonej postawy wobec różnych ludzi z „Solidarności", hasel, które głosili Kp. Wielu kolegów, nie tylko z „Polityki", utraciło wówczas kontakt z rzeczywistością, poczucie realizmu i racjonalizmu; zaczęli zaludniać świat mitów. Dziennikarz powinien być tym, który ogranicza pole mitów, nie zaś tym, który je tworzy bądź wzmacnia. [...] W jakimś stopniu jesteśmy wybrańcami bogów, jest nas w Polsce tylko cztery tysiące i mamy cudowny przywilej przekazywania swoich myśli milionom ludzi. Nie jest to błahy przywilej. Wobec tego trzeba żądać od obierających ten zawód znacznie większej odporności, myślenia w duchu realizmu. Nie wolno stawiać dziennikarzy, w ogóle intelektualistów, w jednym szeregu z całym społeczeństwem. Oczywiście, nie mam tu na myśli tak podstawowych spraw, jak patriotyzm, odpowiedzialność za państwo... Ale to nasze uleganie mitom...

Niektórzy b. dziennikarze z „Polityki" — dodaję od siebie — nie zerwali z piórem, ale ich artykuły nie ukazują się już w pismach, które hołdują hasłu „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!"

Napisałem „hołdują", ale z tymi hołdami też różnie bywa...

12 V. L. Gnot zanotował w kalendarzu (a ściślej na łamach „Sztandaru Ludu"), że jest za cyrkiem, kabaretem, wyborami Miss Polonia. Za cyrkiem i kabaretem — ja jestem również, ale co do wyborów Miss Polonia podzielam raczej zdanie Janusza Atlasa (patrz ostatnia strona „Kameny"). Kiedy Atlas pisał ten felieton, nie były jeszcze znane wyniki. Jak poinformowały środki masowego przekazu, zwyciężyła Magdalena Jaworska, jednak obca dla piszącego te słowa, a więc z gratulacjami proszę się wstrzymać!

Magdalena jest studentką drugiego roku filozofii UW, a w wywiadzie dla „Expressu Wieczornego" ujawniła również, że ma psa pudla (kto ma psa, ten zaraz u mnie zyskuje), a jej matka to wielokrotna reprezentantka Polski w koszykówce, obecnie rencistka. O ojcu poinformowała skromnie: „pracuje". Magdalena wiele podróżowała, była w Azji Mniejszej, we Włoszech i parokrotnie w Anglii — wszędzie z rodzicami.

Prezydent Miss World, Julia Morley, powiedziała (również „Express") o laureatkach: „Są bardzo miłe. Wszystkie trzy mówią po angielsku. Sądzę, że jury wybrało słusznie".

Angielszczyzna dodaje więc urody, przedstawicielki naszego regionu raczej nie miały szans, chociaż zapewne nie tylko z tego powodu żadna nie znalazła się w ścisłym finale.

Kiedy telewizja pokazywała fragmenty imprezy w Sali Kongresowej i kamera prezentowała poszczególne kandydatki do tytułu, człowiek przecierał oczy i pytał sam siebie: „A ty skąd się tam znalazłaś?" Pan Materna zachęcał widzów do klaskania, ale jak tu klaskać, kiedy się rozkłada ręce? Ale na bezrybiu i rak rybą, więc mamy i miss i wicemisski. Niemniej kolega P. oświadczył, że „ładniejsze dziewczyny wyrzucał z łóżka".

Może, ale to musiało być dawno. Mimo wszystko.

13 V. Motor znów miał „więcej z gry", jak mówią sprawozdawcy sportowi, ale z Górnikiem Zabrze zdołał tylko zremisować. Piszę „tylko", bo eksperci totkowi z „Przeglądu Sportowego", a także ekspert ze „Słowa Powszechnego" typowali zwycięstwo gospodarzy, a więc remis można uważać za sukces. Zawodnicy Motoru — telewizja zgotowała nam niespodziankę i transmitowała drugą połowę meczu — zmarnowali jednak dwie tzw. stuprocentowe okazje, a bramkę, jak w Lublinie w meczu z Górnikiem Wałbrzych, stracili dosłownie w ostatnich minutach. Jeszcze raz się okazuje, że grać trzeba do końca!

A swoją drogą za dużo tych remisów w Motorzel Słaby atak i dobry bramkarz! To za mało, aby walczyć o czołową lokatę.

Tymczasem Liga Angielska zakończyła wiosenne rozgrywki i sezon 1983/84. Liverpool, jak się należało spodziewać, zdobył mistrzostwo, choć ostatni mecz ze słabym Notts County zaledwie zremisował. Ale nie musiał się też i wysilać...

M. A. Jaworski

PS. W tym numerze „Kameny" na dziewiątej czytelnicy znajdą okolicznościowy materiał poświęcony 40-lecia bitwy pod Rąbkowem. Nie jest to, jak mogą sądzić niektórzy, przedruk z „Kuriera Lubelskiego", który tekst ów zamieścił w ostatni piątek. Po prostu „Kurier", jako dziennik, był wybany od dwutygodnika i artykuł zawarty w Biuletynie Krajowej Agencji Robotniczej wydrukował wcześniej. Cykl produkcyjny naszego pisma trwa nieco dłużej i przerabianie strony spowodowałoby w drukarni pewne komplikacje. Na szczęście prawach jest tylko ta druga strona z notatnikiem, która może być nadesłana w ostatniej chwili. Obecnie żadnego innego materiału o Rąbkowie nie zdobędziemy, a przecież o tej rocznicy też trzeba choć kilka słów napisać. Zabrakło Leszka Siemiona, który zamówione przez redakcję teksty dostarczał zawsze w terminie...

WITAMY UCZESTNIKÓW PLENUM ZG SDPRL W LUBLINIE

W dniach 25—26 maja br. odbędzie się w Lublinie plenarne posiedzenie Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Tematem: ocena roli, jaką dziennikarze polscy odegrali w 40-leciu powojennym; rozwój środków komunikacji społecznej i ich zadania w procesie socjalistycznego odrodzenia kraju.

Dla uczestników posiedzenia (i chyba nie tylko dla nich) przygotowałem małą niespodziankę. Otóż w mojej bibliotece przechowuję interesującą broszurkę wydaną w Bibliotece Eugenicznej Polskiego Towarzystwa Eugenicznego w 1928 r. (Eugenika < *gr. eugenés = dobrego pochodzenia, rasowy* > system poglądów głoszący możliwość doskonalenia pod względem fizycznym i umysłowym człowieka jako gatunku w oparciu o założenia genetyki. *Sł. Wyr. Obcych PWN*). Jej tytuł: „O zawodzie dziennikarza". Autor: Ernest Łuniński, dyrektor Wyższej Szkoły Dziennikarskiej w Warszawie. Jest to stenogram odczytu wygłoszonego w cyklu: „O wyborze zawodu". Poczytajmy, podumajmy! (Skróty nie zniekształcają myśli prelegenta).

Kilka słów o Wyższej Szkole Dziennikarskiej. Uczelnia ta była w 1928 r. zakładem prywatnym należącym do „Towarzystwa Popierania Wyższej Szkoły Dziennikarskiej". Na czele Rady Towarzystwa stał hr. Aleksander Dzieduszycki, a w skład zarządu wchodzili m. in.: Stefan Krzywoszewski, naczelny redaktor „Świata", Konrad Olchowicz, naczelny redaktor „Kuriera Warszawskiego", Gustaw Wolff, prezes Związku Księgarzy Polskich. Studia trwały trzy lata. Przyjmowano na nie osoby mające maturę, ale również i bez matury — według uznania dyrektora. Ci ostatni byli wolnymi słuchaczami. Absolwenci otrzymywali dyplom na podstawie rozprawy napisanej pod kierunkiem jednego z profesorów i egzaminu ustnego.

M. A. Jaw.

O zawodzie dziennikarza

DZIENNIKARSTWO to twarda służba społeczna, to sięganie w głębokie szychty interesów publicznych. [...] Aby sprostać rozległym i nie posiadającym granic zadaniom, musi dziennikarz zdobyć przede wszystkim bardzo solidne i gruntowne przygotowanie. [...] Przede wszystkim musi pracować prędko, unikać straty czasu, wyzyskać każdą minutę, albowiem koło czasu toczy się bez przerwy i każde zaniedbanie czy opóźnienie naraża pismo na tysiące przykrości, na kompromitację wobec czytelników i utratę wziętości. [...] Sama pracowitość, nawet benedyktyńska, nie wystarcza. Trzeba także dobrej, wyćwiczonej pamięci, gdyż biblioteka nie zawsze jest pod ręką, lub nie ma chwili do stracenia na wertowanie księgozbioru. Nadto pamięć ułatwia rozeznanie się w wydarzeniach, zszeregowanie ich i oparcie na mocniejszych podstawach.

Do bezcennych właściwości dziennikarza należy umiejętność czytania gazet. Od pierwszego rzutu oka wydaje się to łatwym i niemal bezprzedmiotowym. Jednakże w praktyce jest inaczej. Dziennikarz powinien umieć wybrać ze stosu bibuły, co mu potrzebne, powinien przy tej czynności być graczem, naciskającym klawiaturę, choćby w ciemni. [...] Ciągła ruchomość mózgu, ciągłe kwapienie się i wytężenie nasuwają obawę, że dziennikarz przelatujący z tematu na temat wyjaławia się, spłycieje i pozostanie pustym naczyniem. Aby uniknąć niebezpieczeństwa, trzeba się schronić na oazę osamotnienia po ciężkiej orce, oddać zamiłowaniu, szukać ukojenia w muzyce, sztuce, literaturze lub jakiejś specjalności, pogłębiać się ustawicznie celem uniknięcia czyhającej mielizny i spustoszenia umysłowego. Jak wyjątkowym i w znaczeniu helleńskim jest zawód prasowca, tak odgradzać się musi od przepaści, na dnie której czyhają susza i kamienie, nie okryte żadnym mchem. Pozbycie się fantazji, zapału i patrzenia głębszego w życie równa się popadnięciu w partactwo i w bezdarne nabijanie roboty na rzemieślnicze kopyto.

Jedną z najważniejszych strun w instrumencie dziennikarskim jest styl. Niech będzie prosty, zwięzły, przejrzysty czy wartki, obrazowy, byle był. [...] Nieumiejętność wyrażania myśli i przybranie jej w postać chropawą, porwaną nie rzuci pomostu do wyobraźni czytelnika, do prowadzenia go we własne światy i pokazania mu cudów idei i ideałów. [...] W znacznej ilości dzienników naszych sponiewierano piękną mowę polską, wbito ją na brzydki pal, zaniechlujono i zmaltretowano. Przewinienie wprost karygodne, przewinienie doniosłej wagi społecznej, albowiem szerokie masy wzorują się na spaczonej i wadliwej gwarze gazet roznosząc naokół zarody złego.

Bez punktualności i obowiązkowości nie masz dziennikarza. Jeśli tych cnót nie posiadł i mimo to rozparł się za stołem redakcyjnym, wcześniej czy później popełni liczne błędy i stanie się utrapieniem w zawodzie.

Znajomość języków ułatwia niezmiernie wykonywanie pracy redakcyjnej. [...] Dziennikarz, skazany tylko na znajomość języka polskiego, będzie chromał i na każdym kroku rozkrzyżuje z rozpaczy ręce. [...]

Następnie nerwy. Żadna praca może nie szarpie ich tak niemiłosiernie, jak dziennikarska, nie drze w strzępy i nie depcze. Ciągłe trwanie w ogniu bojowym, ciągłe narażanie się i nadstawianie piersi na linii frontowej podkopuje nawet odporne organizmy i zachwiewa równowagę umysłową. Nigdy, przenigdy wszakże dziennikarz nie może zapominać, że jest żołnierzem na pikiecie, że nie wolno mu cofać się z pozycji lub okazywać słabości, tym bardziej dać się unosić mocom spychającym z gościńca równowagi. [...] Dobre formy towarzyskie, układność i umiejętność znalezienia się są dla dziennikarza jedną z tajemnic powodzenia. Nie zawsze łagodny uśmiech jest kluczem do otwierania serc czy ust ludzkich, ale przed brutalnością i nietaktem każdy chętnie ucieka. Wychowanie to klejnot prawdziwy, szczery, błyszczący zawsze jednakowo, a tylko jego pozory obnażają się przy sposobności i zamieniają w bezceremonialność, przypominającą sztuczne kamienie, może nawet szlifowane, lecz o trupim świetle. Dziennikarz idzie wszędzie, idzie w niziny i na szczyty i musi ciągnąć, nie zrażać. Inaczej nie spełni zadania jako informator, nie dowie się niczego, na każdym kroku narazi interes swej służby.

Ostrożność w rozpatrywaniu spraw i przyjmowaniu informacji należy do rzędu naczelnych cnót członków redakcji. Silną jej podstawą jest prawdziwe wykształcenie, gruntowność, rozsądne rozważanie objawów życia i szybkie orientowanie się w materiale bieżącym. [...]

Zasady etyki obowiązują dziennikarza w stopniu najwyższym. Bez nich może łatwo zamienić się jego działalność w ohydę, w szantaż. Co wart ten, kto ma uczyć i poprawiać obyczaje, a sam po uszy grzęźnie w niegodziwości, rozdzierając szaty z miną świętoszka! Przez szpary patrzy się nieraz, zwłaszcza za granicą, na artykuły widocznie opłacone, lub opłacone „milczkowe". Uczciwy dziennikarz jest zarazem wzorem bezinteresowności, inaczej bowiem jego postępki zatrącają symonią, oszustwem i niegodziwą komedią. [...]

Na rydwanie swoim ciągnie dziennikarz bagaż wszystkich niemal zjawisk życia i każdemu zobowiązany jest dać serce, rozum i rozwagę. Jako organ opinii publicznej idzie do mas i staje się zarazem ich wyrazem, kładzie odcisk na każdym wydarzeniu, jest kołem obrotowym w rozwoju stronnictw, pośrednikiem między parlamentem a ogółem, wielką sprężyną w systemie administracji państwa. Ileż to razy rządy sondują za pomocą gazet pewne projekty zanim nadadzą im moc dekretów! [...]

Bez mała nie ma szczeliny, przez którą nie przecisnęłaby się czarodziejska potęga dziennikarstwa, podobnego do powietrza, zapełniającego przestworze. Ono dźwiga naukę, popularyzując jej wyniki, ono wprowadza książkę między czytelników, pcha ich lub odstrasza od teatru, przyspiesza dojrzewanie kultury i cywilizacji, przyspiesza wreszcie umieszczanie narodu w rzędzie światłych społeczności lub odgranicza go od nich kordonem zacofania i niższości. [...]

Aby uzgodnić postępowanie dziennikarstwa na polu polityki krajowej i międzynarodowej, potworzono rządowe biura prasowe, które mają odpowiednio oddziaływać na redakcje, jednakże żadne z podobnych biur nic nie zrobi, o ile sama prasa nie umie się wznieść na odpowiednie poziomy i interes państwa postawić ponad prywatę. [...]

Walka musi być, walka o idee i ideały musi wrzeć w sposób szlachetny, nie pozostawiający nienawiści i przedziałów tragicznych. Im większa godność i spokój, im wznioślejsza olimpijskość, tym skutek pewniejszy. Nawet rubaszny charakter, nawet warcholstwo skłonią z czasem czoło przed prawdą i wielkością duszy.

Dziennikarze chodzili w aureoli, ale i dostawali obuchem. Znakomici politycy, jak we Francji Delcassé, Clemenceau, Poincaré, wyszli z ich kadr, wkładano im na głowy korony pochwał i uwielbień, ale i cierniowe wieńce nienawiści, szyderstw i pogardy. Nie zachwycał się redaktorami Goethe, nie zachwycał się Ryszard Wagner, twierdząc, że żyją z obawy przed nimi, nie zachwycał się Lassalle, ryzykując powiedzenie: „To banda niezdolna do zostania nauczycielem ludowym, a zbyt leniwa do objęcia stanowiska sekretarza poczty". [...]

Dziennikarstwo jest dziś zawodem, jak każdy inny, tylko bardziej powikłanym, ciężkim, naprawdę pierwszorzędnym. Jak w żadnym może innym trzeba tu zmysłu obserwacji i szybkości orientowania się i znawstwa ludzi, a przede wszystkim sztuki pisania.

Komu wtyka się pióro do ręki, kto puka do redakcji wykoleiwszy się gdzie indziej, byle tylko wegetować i porwać kęs chleba, będzie wiecznie rzemieślnikiem i przeważnie partaczem. Polityk, profesor uniwersytetu lub indywidualność mająca pewne stanowisko życiowe, może być doskonałym publicystą, ale dziennikarz rasowy, z krwi i kości, nie rozproszy się na różne zawody i będzie jedynie strażnikiem własnego. Zawód ten stanie się ołtarzem, dającym byt i jedyne źródło natchnień. [...] Dziennikarstwo to zawód wyłączny, zazdrosny, to królestwo wielkich możliwości i dlatego rzesze garną się do niego, idą niby za błędnym ogniem, wpadając na zgubne trzęsawiska. Nie dość ostrzeżenia, aby uchronić niedoświadczonych przed zabójczo złudnym blaskiem! Owszem, idźcie za nim, wszakże dostatecznie przygotowani, opromienieni ogniem zapału, z poczuciem doniosłości czekających was zadań, a już najchętniej z odpowiednim darem artystycznym. Tak, z darem artystycznym! [...]

1928.

Ernest Łuniński

Kajet literacki

Artystą być

WIADOMO, że zawód artysty należy do najstarszych. U jaskiniowców wyodrębnić możemy tylko łowców, czarowników i właśnie artystów.

O artystach różnie się mówi czy myśli, ale jednocześnie przeciętny czytelnik dalej wyobraża sobie, że pisarz śniadanie spożywa razem z królami, obiad z ambasadorami, a kolację z gejszami. Osobiście znam jednak także skromnych poetów, którzy twierdzą, że świat urządzony jest dla filistrów i tak właśnie powinno być, bo poeta przez 99 proc. dnia też jest filistrem.

Inny mój kolega na wieczorach autorskich tłumaczy tak:

— Poeta może osiągnąć w życiu wiele, ale spokoju nie osiągnie. Tymczasem Puszkin powiada, że w życiu szczęścia nie ma ale jest, może być spokój i wolność. A czy wolność jest osiągalna? Najwyżej z pewną dozą rezygnacji. Zamiast spokoju mamy więc raczej niepokój, dlatego niespokojne, dekadenckie epoki tak bardzo są artystowskie.

Jacy właściwie są ci artyści? — pytają ludzie. Jeden wygląda jak włóczęga, zarośnięty, brudny, pijany — inny znowu jak pan magister z wąsikiem, z teczuszką. Najprostsza odpowiedź brzmi: statystycznie rzecz biorąc jest taki sam jak wszyscy. A teraz trochę analizy.

Gdy przyjmiemy, że sztuka jest „kontrrzeczywistością", wtedy w „rzeczywistości" artysta nie ulega socjalizacji i jest bękartem kaleką, trędowatym. Trędowaci już w średniowieczu uważali się za wybrańców. Wtedy właśnie wytwarza się podział na mydłków, filistrów i panów artystów. Artyści chętnie uważają się za indywidualistów, a indywidualizm — według socjologów — wiąże się bezpośrednio z niepomyślną socjalizacją. Indywidualiści wciąż się wahają i nie potrafią dokonać wyboru między niezgodnymi ze sobą rzeczywistościami i tożsamościami. Człowiek który ma za sobą pomyślną socjalizację, nie pyta, kim jest i nie wygłasza monologów Hamleta. Indywidualista złożony jest z różnych tożsamości, a z różnych tożsamości rodzą się niezgodne ze sobą światy. Tożsamość zaś — według socjologów — jest kluczowym elementem rzeczywistości subiektywnej. Zjawisko to rodzi się na styku oddziaływań jednostki i społeczeństwa.

Sztuka jednak nie zawsze jest kontrrzeczywistością, świadczy o tym choćby łaskawe traktowanie artystów we wszystkich niemal epokach, od jaskiniowców poczynając. Niektórych artystów to rozgorycza. Taka sztuka wydaje się im minimalizmem. Wtedy właśnie artysta zaczyna odgrywać artystę do kwadratu i współtworzy cyganerię. Towarzyszą mu najchętniej artyści nietworzący, pozorujący tylko bycie artystą.

Tu docieramy już jednak do wielkiego tematu sztuki życia. Tematowi temu starożytni poświęcili wiele potężnych traktatów. Zainteresowanych odsyłam więc do starych mistrzów.

Janusz Olczak

Między śmiechem a śmiercią

Anna Bocian

RUBINOWE kolczyki lekko drgają w uszach Ani Zarzeckiej. Śmieje się jak dziecko, które trzyma na kolanach. Łączy ją z nim ta sama nieświadomość wdzięku, dzieli — dorosłe spojrzenie dziecka z puchatymi, dopiero odrastającymi włosami.

— To po lekach — mówi Ania i głaszcze Iwonę po główce. Dziewczynka robi minę zachwyconego zajączka i patrzy pod górę ku jej twarzy. Usiłuje sięgnąć po kolczyk.

— Nie rusz, ty wstrętny kociaku — protestuje Ania i całuje dziecko w skroń. — Chciałam być mądrą i dobrą pielęgniarką — mówi. — Czy mi się to udaje? — Znowu śmieje się, jakby ocena nie miała żadnego znaczenia wobec obecności Iwony na kolanach.

Do dyżurki wchodzi ludek z insygniami oddziału na piżamie, z trzyletnią powagą i niezgłębionym smutkiem w oczach.

— No jakby było bez Monikil — woła Ania i wyciąga rękę. — Te dzieci lgną do siebie, nie wiadomo dlaczego, zawsze.

Monika przytula się do biodra Ani, ostrożnie kładąc rączkę z przyklejoną plastrami, wkłutą igłą do kroplówek. Iwonka robi jej trochę miejsca.

— Iwonka przyszła przed rokiem, zoperowana na nerki. Okazało się, że guz. Później przyplątała się niedrożność jelit, znowu zoperowana. Od czerwca ubiegłego roku spotyka się z Andrzejem. Andrzej Jung, ten z Sierpińskiego. Kotuniu, nie będziesz mi grzebała po kieszeniach — karci Iwonkę. — Andrzej dwa razy dziennie jest u Małgosi. Monikę też dotyka. Co ja mogę powiedzieć? Widzę po dzieciach, że bioenergoterapia je stawia, tylko tyle — widzę.

Jest wieczór i dzieci powinny już spać. Ale te nie chcą, więc jeszcze się bawią. Na korytarzu. Iwonka kręci na pięcie piruety, tak żeby ją było widać z dyżurki.

— Dzieci zawsze wybierają sobie w szpitalu jedną osobę. Nawet nie tą, która najwięcej koło nich chodzi. Nasi dwunastoletni pacjenci usiłują się z nami umawiać. Mój najmłodszy wielbiciel, który wołał za mną „narzeczona", miał cztery lata. Dziwne są koleje sympatii do nas. Iwonka przyszła bez zaufania. Mogłyśmy nie istnieć. Wydawało się, że nie umie mówić. Kociak prawie miesiąc nie odzywał się. Kiedy była umierająca i robiło się jej zastrzyki, po których ból ustępował, zaczęła nas dostrzegać. To był pierwszy kontakt. A teraz jest rozpuszczona, szczerze mówiąc. Iwonka dosyć!

Z korytarza dobiegł psotny śmiech.

— Te dzieci ze względu na jednostkę chorobową są traktowane inaczej. Można się z nimi raptownie rozstać. Jedenastoletni Paweł z nowotworem kości był w bardzo dobrej formie, a potem niespodziewanie zaczął się nam wymykać z rąk. Dziecko zaczęło od nas odchodzić, spoważniało. Wolało trzymać się od wszystkich z daleka. Wtedy zobaczyłam, że jest to tak strasznie mało, to, co się dla niego robi. Pewnego dnia przerzut na krtań, stracił przytomność, nawet została zniesiona reakcja na ból. I co, lizusie chcesz? — Ania przygarnęła zziajaną Iwonkę. — To było dwa lata temu. Na drugi dzień odzyskał apetyt, zaczął coś czuć. Żył jeszcze dwa tygodnie. Zmarł świadomie, jak większość tych dzieci.

Monika wyszła zza firanki. Z odległości paru metrów spojrzała mrocznie, niczym doświadczona życiem kobieta. Skradając się, boczkiem, podeszła do Ani. I wdrapała się jej na kolana.

— Nie maś bozi — powiedziała.

— Dzieci tak nie przebywają w dyżurce — usprawiedliwiła się Ania. — Dziecko może wszystko wziąć. Każda bierze to pod uwagę. Ale znowu ma się żal do siebie za chwilowe zniecierpliwienie, kiedy dziecko umiera. Zresztą one same oczekują więcej uczucia. I potrafią sprowokować, żeby im dać więcej.

— Wczoraj po południu nie było Andrzeja u Małgosi. — Na chwilę zmieniła temat. — U mnie zaraz niepokój. Rodzice Małgosi mają ogromne zaufanie, wierzą w Andrzeja.

— Spotkałam matkę Małgosi — powiedziałam — pod szpitalem przy ulicy Kruczkowskiego. Czekała tam na Andrzeja. Myślałam, że ona jest chora, okropnie wyglądała.

— Trudno się dziwić, Małgosi nowotwór zastakował zakończenia nerwów. A Iwonka też była nie do poznania. Szara, rysy zaostrzone, i te oczy... Po Monice widać, że jest chora. Oczęta takie smutne... Co, wstydzi się dziecko?

Monika uśmiechnęła się niewyraźnie.

— Oj, ty klocu, stary klocu — zaprotestowała Ania, gdy Iwonka znowu usiłowała zdobyć nieopatrznie utraconą pozycję na jej kolanach. — One wyczuwają kto je lubi. Paweł tak przeżywał nasze wychodzenie do domu, że kładł się na podłogę i krzyczał: „nie zostawiaj mnie". Dzieci wyczuwają najdrobniejszy fałsz, zrozumieją najdrobniejszy gest. Nie można i nie warto ich oszukiwać, bo przestają wierzyć. Przy Pawle, który wyglądał, że nie kontaktuje, pan docent powiedział za dużo, no wszystko. Potem dziecko mi mówi: „teraz i pani nie wierzę". Małgosia też bardzo obserwuje. Ona ma dziewięć lat. Po przerzucie na pęcherz wyłoniono jej teraz moczowody. Bardzo bolesne opatrunki. Ale ani u matki, ani u pani doktór, ani u nas Małgosia nie może widzieć rozczulenia. Dzieci litość upokarza i załamuje. Monisiu — Ania pochyliła się nad rączką dziewczynki — trzeba podrapać, dostałaś uczulenia na plaster. Swędzi, tak?

Dziecko zanurkowało głową w brzuch pielęgniarki.

— Monisiu, wyrzucę cię do łóżka, zobaczysz.

— Nie... — odpowiedziała dziewczynka ze zdobywczym uśmiechem.

— Zawsze miałam słabość do dzieci. Najgorzej, jak one idą do domu i wracają w gorszym stanie, zawsze. Ale Iwonka jest na glanc, nie ma przerzutów. Monika była dotykana trzy razy. Pierwszego dnia, jak do nas przyszła, nawet płakać nie chciała. Teraz dopiero jest gaduła. A przedtem siedział mały kurczak w łóżku, bardzo obrażony. Iwonka ma usuniętą lewą nerkę, było podejrzenie o przerzut na prawą, ale już nieaktualne. Monika ma w płucach. Gdybym akurat nie poznała Andrzeja, nie byłoby szansy dla Iwony. Andrzej bardzo się teraz poświęca dla Małgosi.

— Bo i stan jej ciężki.

— Może nawet na wszystko jest za późno... — westchnęła Ania, lecz zaraz uśmiechnęła się. — Andrzej nie pozwala tak myśleć. Każe wierzyć. Sam wierzy, więc nie dopuszcza, żeby ktoś zwątpił. Jak człowiek ma nadzieję, ma szanse. Moje koleżanki mówią, że nie mogłyby pracować na takim oddziale, bo są zbyt wrażliwe. To znaczy, że ja jestem sadystka, tak?

— Jesteś — powiedziało dziecko.

— Ty jesteś!

— Lońćki maś zimne — dziecko nie dawało zbić się z tropu.

— Twoje rączki są ciepłe, to mi zagrzej — powiedziała Anka. — Czasem myślę, że dam sobie spokój z tymi dzieciuchami, pójdę gdzie indziej. Ale właściwie to gdzie? Pracuję czwarty rok. Przyszłam tu, bo chciałam być potrzebna. Tu wiem, że ktoś na mnie czeka, mogę mu pomóc. No, powiedzmy — ulżyć. Dziecko zawsze potrafi podziękować, choćby gestem. Inaczej niż dorosły.

— Co ty kombinujesz, ty artystka? Puknij ty się lepiej w głowę — Anka zauważyła, że Iwonka odrywa sobie od ręki kartkę z napisem: „na czczo". — Wiesz, małpiszonie, że nie wolno... Nasza oddziałowa potrafi i zachęcić, i wymagać. Co z tego, że ja powiem „przepraszam", jeżeli coś źle zrobię. Więc muszę być jak automat, w nocy, nie w nocy. Gdy dziecko umiera, nieważne, ile się człowiek narobi. Czy tylko ja tak potrafię? Wszystkie potrafią tak samo, tylko nie chcą się przywiązywać. Nie chcą dziecka zrozumieć, bo wtedy się przywiązują.

W drzwiach stanęła Iwonka z wielkim szmacianym clownem.

— Małgosia miała wczoraj kryzys, właściwie psychiczny. Dobrze, że akurat byłam. Wiedziała, że w każdej chwili może poprosić, żebym przyszła.

Iwonka posadziła clowna na progu i pogroziła mu palcem.

— Jak obserwuję Małgośkę i widzę prawdziwy ból, trochę inaczej traktuję siebie. I oczywiście zaraz powiem, że nic mnie nie boli. Nerki cię nie bolą? — pyta Andrzej. — Nie. — Dlaczego kłamiesz? Ja chcę zaoszczędzić jego energię dla bardziej chorych niż ja.

EPILEPSJA

Edward Smyk

PRZY ulicy Gagarina w Radomiu tylko dwa domy. Ale jakie! Sto metrów długości, trzydzieści wysokości. Coś około dwudziestu klatek schodowych, z których każda prowadzi aż na dziesiąte piętro. Prawie pięćset mieszkań, ponad dwa tysiące ludzi. Inaczej — małe miasteczko dawnego typu lub duża wieś. Lub jeszcze inaczej — plemię, szczep. Tylko, że te nazwy-hasła nie mają tu żadnego zastosowania. Chyba, że... odnoszą się do licznej populacji szczurów grasujących tu bezczelnie po wszystkich dziurach, obficie przez budowlanych poprzebijanych w — zdawałoby się — jednolitej masie betonu.

Pan Stanisław Sikorski, rencista z Zakładów Metalowych „Walter", u którego goszczę, jest drobny, szczupły, niepozorny. Nazywali go Chudzielec.

— Tylko się nie denerwuj! — przestrzega w pewnym momencie żona i zaraz potem mówi do mnie tonem przepraszającym: — Bo pan wie, on cierpi na epilepsję. W każdej chwili może mieć atak. — Rzuca pracę przy maszynie krawieckiej i siada razem z nami. Anioł opiekuńczy. Dosłownie. Jest w tym domu jedyną jako tako zdrową osobą, chociaż też chorowała i to ciężko. Pan Stanisław wspina się na szafkę, grzebie w zakamarkach, szuka tych siedemdziesięciu kamieni, które lekarze wyjęli jej z woreczka żółciowego. Kamieni jednak nie ma: wyrzuciła je, by tym samym zerwać nawet materialny związek z chorobą. Ona musi być zdrowa.

— Człowiek jest trwalszy od żelaza — stwierdza. — Wszystko wytrzyma. Tylko nie trzeba zbytnio myśleć o nieszczęściach. Cieszę się tym, co mam.

— Tak — wtrąca mąż — ona jest taka. Bywało, i to wielokrotnie, że zostawaliśmy bez pieniędzy. Mówiłem: „Nie ma za co kupić mięsa, owoców, kartofli". Odpowiadała: „To kup mleko i chleb, a jeśli nie starczy, to tylko chleb, też przeżyjemy". Moja żona to cicha i łagodna kobieta, a jednak...

Rok temu znalazła się w szczególnie tragicznej sytuacji. Jedyne dziecko, ukochany Artuś, owoc dość późnego związku, wpadł pod samochód. Rozbita głowa, kałuża krwi.

Pierwszy o nieszczęściu dowiedział się ojciec. Szalał z rozpaczy. Syn na moment odzyskał świadomość, spojrzał na ojca: „Żeby ci się, tato, nic nie stało..." Powiedział o kilka słów za dużo, krew rzuciła mu się ustami...

Pan Stanisław też zemdlał, odwieziono go na pogotowie, a jedynaka — na salę operacyjną.

W domu jest jeszcze stara matka żony pana Stanisława; swoje przeżyła. Dziś nic nie pamięta, nikogo nie pozna-

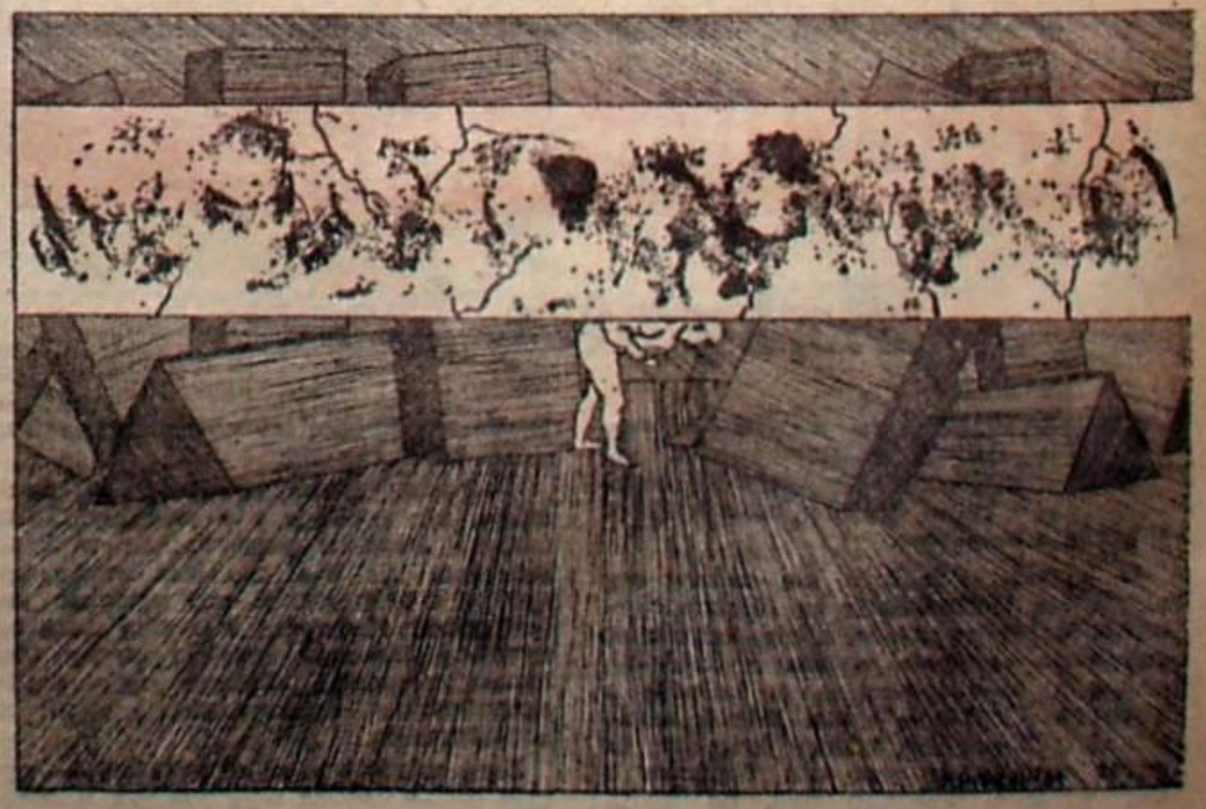

Rys. Mariusz Rybiński

Z clownem w objęciach Iwonka weszła do dyżurki. Ze [illegible] troskliwej [illegible] wiła lalkę zamiast siebie na kolanach pielęgniar[illegible]. Poprawiła clownowi ręce, kryzę, przyjrzała się mu.

— Ty sobie powinnaś założyć przedszkole, mówią koleżanki. Ty je rozwydrzyłaś mówią. A mnie przykro, bo jeżeli człowiek chce być dobry, zaczyna tracić przyjaciół. Chce robić lepiej, inaczej i wpada w konflikt, zgodnie ze sobą, czy dostosować się do ogółu. Zobojętnienie może jest wygodne, ale nie daje satysfakc[illegible]

— Jemu źle — stwierdziła Iwonka chcąc zwrócić na siebie uwagę Anki.

— Czasami wchodzę na salę, usiłuję krzyknąć, a tu ryk śmiechu. Teraz, gdy tracę cierpliwość, idę do łazienki. Gdybym kiedyś poczuła zniechęcenie, gdyby kiedyś przestało mnie interesować to, co robię, przestałabym, zrezygnowałabym. Na razie szpital mnie wciąga. Mam wolny dzień, a myślę o Małgosi. Iwonka była w lepszej sytuacji. Szybko można było wkroczyć z leczeniem drugim, tym nielegalnym. Myślałam sobie: lekarze nie wiedzą, rodzice nie wiedzą — po co się wtrącasz, to nie twoje dziecko. Ja rzeczywiście nie mam tłumaczenia, dlaczego ściągnęłam do nich Andrzeja. Matka Iwonki teraz wie i akceptuje, zresztą widać efekty. Ale tak właściwie, to Andrzej nie jest tu w szpitalu mile widziany.

— Rodzice mogą przychodzić?

— Raczej nie to znaczy nie. Za wejście matki na oddział idzie się na dywanik. Ten szpital nie ma dobrych warunków, a żeby mogli siedzieć rodzice, to już zupełnie niemożliwe. Na jednym łóżeczku kładzie się niekiedy dwoje dzieci.

— Dużo jest na oddziale takich dzieci jak Monika i Iwonka?

— Czasem połowa. Chwilami wolałabym, żeby to mnie bolało. One jeszcze nikomu nie zdążyły zrobić krzywdy.

— Weź nas — Iwonka wpycha się z clownem pod ręce Ani, w tej samej sprawie stawia się ze swoją lalką Monika. Obie mają przypięte broszki z pszczółką Mają.

— No co, naciągaczki?

— Ładne — pokazuje swoją broszkę Iwonka.

— Kupiłam im, bo były kiedyś grzeczne. Ale to było kiedyś, tak, kociaki? Do łóżek proszę.

Dziewczynki niechętnie idą do drzwi, jednak daleko nie odchodzą.

— Moim zdaniem, człowiek jest tyle wart, ile może pomóc drugiemu — mówi Anka. — Może nie?

* * *

Niepostrzeżenie minął miesiąc. Ot, czas puszczony bez kontroli, trochę czymś zapchany, trochę zmarnowany.

— To ja — odezwała się przez telefon Anka. — No niestety, Małgosia wymknęła się nam przedwczoraj.

Przypomniałam sobie wpadnięte oczy jej matki, kiedy przyjechała po Andrzeja, ogłuszona i zmęczona szukaniem ratunku.

— Ciągle widzę wielkie, spłoszone oczy Małgosi — mówi Ania. — Nic, tylko oczy... Dziecko kona na oczach innego dziecka, koszmar.

— A Monika?

— Matka zabrała ją ze szpitala, nie było mnie akurat na dyżurze. Po południu, jakoś ją tak dziwnie wzięła. Nie wiemy, dlaczego. Iwonka jest. Chodzi jeszcze na naświetlania. Z Andrzejem też się spotyka, oczywiście, i rozrabia jak szatan... A ty nie idziesz do Małgosi, pyta mnie wczoraj. Nie, bo Małgosia poszła do domu. Ty mnie kłamiesz, mówi. Zorientowała się, że Małgosia umarła, chociaż ma cztery lata.

...najgorzej jak one idą do domu i wracają w gorszym stanie

Andrzej Jung... ma biopole silniejsze niż Nardelli

Fot. Waldemar Stępień

— Podobno Andrzej się ożenił, co robi?

— Raczej co mógłby robić? Przyjmuje ludzi, którzy czują się chorzy... Straszna jestem, ale ja tu patrzę na stwierdzoną chorobę, na którą nie ma sposobu. Przesadziłam? Ale ja naprawdę patrzę. Ten artykuł powinien być nie o mnie, tylko o Andrzeju. On ma biopole silniejsze od Nardellego i on naprawdę zasługuje. Bardziej ludziom pomaga niż ja.

---

je, tylko córkę, ale i to nie zawsze. Musi jednak być przy niej, słyszeć jej głos... O zięciu mówi: „Kto jest ten chłop? Wygoń go!"

Pan Stanisław o to nie ma pretensji. On sam, weteran szpitalny, przebywający w klinikach kilkakrotnie po pół roku i więcej, wie, co to cierpienie, kalectwo. I nawet nie chce myśleć o oddaniu teściowej do domu starców.

A jego żona dla nich właśnie: męża-epileptyka, matki-sklerotyczki i syna po wypadku musiała zwolnić się z niezłej pracy w zakładzie krawieckim i teraz usiłuje zbudować własny chałupniczy warsztat. Ktoś musi się tym wszystkim opiekować. Dziecko — po ciężkim wstrząsie mózgu — udało się odratować, mąż też jako tako doszedł do siebie, ale dom zmienił się w zbiorowisko inwalidów, ataki pana Stanisława nasiliły się po wypadku syna.

Bez liku wizyt lekarskich. Przez pięć pierwszych nocy w szpitalu pielęgniarka brała po tysiąc złotych za czuwanie przy nieprzytomnym chłopcu. A później taksówki, badania prywatne, specjalne odżywianie.

Sprawca wypadku nawet się nie pokazał. Nie skarżyli, nie dochodzili, nie zależało im przecież na skazaniu człowieka, chociaż jego wina była nie do podważenia. Wprawdzie nie wzięliby od niego pieniędzy, ale mógł przecież zaproponować, mógł okazać współczucie. Dostali tylko dwa tysiące złotych ze szkoły z tytułu ubezpieczenia ucznia.

— Znieczulica, znieczulica — rzuca pan Stanisław.

Ta znieczulica najbardziej ich dosięgła, gdy dziecko po wyjściu ze szpitala nieustannie chorowało.

Artur ma 40 stopni gorączki i leży pod pierzyną w jesionce. Tak, w jesionce, bo w mieszkaniu kaloryfery zimne i wiatr gwiżdże przez szpary. Jak tu zmienić dziecku bieliznę, pościel, jak zrobić kompres?

Więc kapotę na plecy i w dyrdy do ciepłowników biegnie pan Stanisław. Przemawia, argumentuje i jest uparty. Bardzo uparty.

W ciągu siedmiu lat, bo tyle tu mieszkają, cztery razy przeżywali remont. Oglądam skutki. W pokoju sypialnym ściana przedziwnie falista, łuszczy się wielkimi płatami tynku. W przedpokoju klepki parkietu ruchome, a część parkietu zdarta niemiłosiernie, bo był tak straszliwie zachlapany przez „majstrów", że trzeba go było tylko drzeć i drzeć. Dwukrotnie ekipa niejakiego pana Bąka uszczęśliwiała ich popisem swych umiejętności. Pana Bąka mają już dosyć, czekają na inną ekipę.

Coś jednak nie najlepiej jest chyba z administracją i samą konserwacją zasobów mieszkaniowych w spółdzielni „Ustronie". Pan Stanisław pokazuje mi pomieszczenie, w którym miała się znaleźć pralnia z suszarnią. Wyłamane drzwi, ani kaloryferów, ani wanny. Nic. Pustka...

Powoli, powoli przeszliśmy z panem Stanisławem do rozmowy na temat pracy zawodowej, jej etyki, dyscypliny, rzetelności.

— Praca jest jak kościół — mówi. — Czego nie można w kościele, tego i w pracy. Nie wolno pić, kraść, wygłupiać się, chuliganić, spać, niszczyć. Praca to świętość!

Poznaję rodowód robotnika z pierwszego pokolenia, dawnego wiejskiego chłopaka z Bukówna koło Przytyka, który w swej rodzinnej miejscowości przesiąkł od dziecka tym wprost religijnym stosunkiem do pracy. Czy to się sprawdziło w Radomiu, dokąd w wieku dwudziestu lat przybył za chlebem, za lepszym życiem?

— „Ciesz się, sk..., że tyle dostałeś — powiedział mi brygadzista, gdy mu się poskarżyłem, że chyba za mało mi naliczył. — Ciesz się! W następnym miesiącu i tyle nie będziesz oglądał!" — A przecież — dodaje pan Stanisław — zostawałem po godzinach, nigdy nie odmawiałem, brałem każdą pracę. A on mi tak powiedział! Niosłem do domu te 1600 złotych i płakałem! Kiedy znów wróciłem ze szpitala, powitał mnie nadmistrz: „Toś jeszcze nie zdechł w szpitalu? Lepszy z ciebie symulant!"

Pan Stanisław blednie i niemal zgrzyta zębami, gdy wspomina swój wieloletni pobyt na P-6 u „Waltera". To tam właśnie w czerwcu 1976 roku rozpoczął się robotniczy protest. Mój rozmówca jest zdania, że przede wszystkim zawinili sami ludzie: mistrzowie, brygadziści, kierownik...

— Mój brygadzista — zwierza się — tak zawsze kręcił, lawirował, że premia w końcu trafiła do jego kieszeni. Chodziłem ze skargą do sekretarza Stanika, do dyrektora Skrzypka. Oni byli w porządku, ale też nie mogli sobie poradzić z sitwą. Kto z sitwy był w partii, wyleciał z niej później, ale niektórych znów przyjęto. Ubłagali, a u nas ludzie nie są tacy pamiętliwi. Zmieniłem wydział, poszedłem na P-7. Tam już było znacznie lepiej, mistrz, Tadeusz Motyka, to ludzki człowiek. Teraz, po dwudziestu siedmiu latach pracy, jestem na rencie. Trzecia kategoria, pieniądze niewielkie, coś siedem z hakiem. Praktycznie pracować nie mogę, bo dla mnie, epileptyka, trudno znaleźć bezpieczne stanowisko. Ale gdybym nawet otrzymał jakąś propozycję, musiałbym się nad nią dobrze zastanowić...

Pan Stanisław chyba woli siedzieć w tym mieszkaniu, gdzie jest też dosyć pracy. Chodzić po zakupy. Opiekować się dzieckiem i teściową. Pomagać żonie. No i użerać się z administracją.

Jakoś pod złym znakiem to bytowanie. Najpierw ze starą matką mieszkał przez długie lata w nędznym baraku przy ul. Kolejowej. Potem w tymże baraku z żoną i dzieckiem. Z tym mieszkaniem na Gagarina dużo pomógł mu zakład, tu uczciwie z nim postąpili. Jako zarabiający zaledwie minimum na poszczególnego członka rodziny, niewiele zapłacił własnych pieniędzy, a i pożyczkę też mu w połowie umorzono. Ale jednak urzędniczka, niejaka Z., chciała go oszwabić kręciła, żądała wysokiej dopłaty, chodziło jej, by zrezygnował, bo chyba miała innego kandydata. Nie dał się wykołować!

Przy pożegnaniu gospodarze wyjaśnili mi, dlaczego od podłogi tak „ciągnie". Otóż ich mieszkanie na parterze znajduje się nad przejściem pod blokiem. W jednym z przęseł jest ogromna dziura, w której rozmnażają się szczury i przez którą wpada wiatr, wyziębiający mieszkanie. Od kilku lat państwo Sikorscy sygnalizują tę sprawę w biurze spółdzielni. Bez skutku.

Zeszliśmy na dół. Ogromna dziura wielkości głowy ludzkiej. Fale wiatru wdzierają się ze świstem, cała ściana drży.

Epilepsja...

Jak Bronek dojrzał do sławy a Jadźka do kochania

Jacek Dąbala

DEBIUT

NA wiosnę wszyscy we wsi wiedzieli już, że Bronek Pętak bez Jadźki dalej nie wyżyje. W mordę chciał walić każdego, kto tylko ośmielił się spoglądać na nią zbyt łakomie. Los chciał, że do Jadźczynej ręki chętnych było wielu. Ba, czy aby na pewno do ręki?! Bronek po nocach nie spał, ból straszliwy targał na wszystkie strony jego zakochaną duszę. Ledwie tylko oczy przymknął nad ranem, a już śniła mu się opłotkowa konkurencja, w której Józek od Bruzdy pierwsze skrzypce grywał. To ci dopiero była kapela! Szczególnie po jabcokach i w kupie. Jak zasadzili się na którego to od razu mogiła. Tak to było w zwyczaju w tamtych, odległych latach i nie wszędzie minęło.

Tylko Bronek się nie bał. Jeżeli drżał, to najwyżej z wściekłości, zresztą wszyscy widzieli i słyszeli, jak sapał gardziołem dla postrachu. Bo i jeżył się ostro. Knutowaty był, zapocony i karłowato-obły. Wylewał z siebie jad, który był potworniejszy od najsroższych, bo Bruzdowych.

Za łby chwycili się z Józkiem jeszcze w podstawówce. Drugoroczny baran Bruzda i oczytany w „Wyspie Skarbów" Pętak starli się na gimnastyce podczas skoków przez konia. Jadźka jakoś nie mogła zaskoczyć na tę zaporę. Mułowata zresztą była od urodzenia, a czuły na niedole dziewuch Bruzda podparł ją prawie z narażeniem życia. Jadźka potężna już wtedy była, wyglądała jak pachnąca, zarumieniona kajzera. Gdyby ta cała piekarnia na Bruzdowy łeb się urwała, to by Józkowi na karku jeno zakalec się ostał. Nno... jakoś poszło. Może nawet wszystko byłoby dobrze, gdyby nie Bronek Pętak. Wypatrzył, że Bruzda coś przydługo podważa Jadźkę i przy okazji za cycek ją trzyma, że niby to przypadkiem łapa mu się omskła. Bronek nie taki durny, żeby swoją upatrzoną pozwolił macać jakiemuś plewowi. Na macanie zresztą musi być pora i przyczaja, na przykład w szatni po lekcjach, albo na przerwie za szafą. Na gimnastyce człowiek przynajmniej powinien kultury fizycznej nabywać, a nie do gorącego ciasta z łapami się pakować, co jeszcze w dzieży rośnie, i niuchać. No i gruchnął Bronek na odlew w Bruzdową mordę, że niby muchę chciał zabić na ścianie, ale mu czyjaś otwarta japa przysłoniła cel.

Wszystko to grzeszne, brudne i parszywe w porównaniu z niewinną miłością Bronka Pętaka i Jadźki Buły w momencie, gdy doszli już do lat. Bronek dobrze pamięta pierwszą z nią randkę. Koło młyna to było, nad rzeką. Założył wtedy białą koszulę, krawat w czerwone grochy, garnitur ojca i błyszczące lakiery. Potem wsiadł na motor i pognał, gdzie trzeba.

Przyuważył ją już z daleka, dodał gazu, żeby warkotem zagłuszyć szum młyńskiego koła. Przykręcił paluchami, ile tylko weszło, mało rączki nie urwał. A Jadźka stała wystrojona w kolorową kiecę, w różowy beret i wysokie białe szpile, które haniebnie zapadały się w błoto. Zawirażował ostro, hamulce zapiszczały jak w kinie, a trochę błota prysnęło na beret. Jadźka zastygła w miejscu, spoglądała na Bronka miłośnie i długo. Oczu od niego nie mogła oderwać, kiedy powolutku zsiadał z motoru i stawiał go na podnóżku. Wydał jej się tak piękny, jak z telewizora. A on leniwie wydobył z kieszeni papierosa, podpalił go od jednej zapałki niczym harcerz i zdecydowanie ruszył w jej stronę. Aaaa! Trzęsła się cała z zakochania i z powodu tej wspaniałości, która od niego biła.

— Zapal se, Jadźka! — powiedział z kulturą i wyciągnął drugiego papierosa z kieszeni.

Wzięła, bo co nie miała brać, kiedy ją tak częstował. Bronek oparł się o barierę na mostku i rozpoczął gwizdanie piosenki z „Bonanzy". Odważnie przebrnął przez początek, ale potknął się na refrenie.

— O, kurczę! — wycedził przez zęby.

Jadźka jednak nie zauważyła pomyłki i dygotała cała z pożądania. Po raz pierwszy w życiu zaciągnęła się Carmenem... Miała fart, że w ostatniej chwili przytrzymała się bariery. Rzeka nie była głęboka, ale do połowy Jadźka mogłaby się zaryć. Wyczyn ten przypłaciła czym innym. Matczyna pończocha zsunęła się jej z pulchnego uda i przyhamowała na kosmatej łydce. To ci dopiero pech! Dobrze, że Bronek tematu akurat szukał, raz w rzekę patrzył, drugi raz w niebo, a czasami na boki. Inteligencji szukał, gdzie się tylko dało. To i wyczekała momentu, aż się Bronkowy łeb do góry zadarł, złapała pończochę w obie garście i szybko podpięła klamrę. Mocno i na wcisk, byleby chłopak nie zobaczył feleru. Nie tylko pończochy matczyne wdziała, pożyczyła, co było można, a że duża była i mocno w siedzeniu rozbita, więc pasowało. A Bronek już złapał trochę luzu i uważniej łypnął na dziewczynę.

— A to ci dopiero! — zawołał z podziwem. — Umalowałaś się, Jadźka, co?

Popatrzyła na niego spod oka i poczuła się piękna jak na filmie.

— Nooo — odpowiedziała kokietliwie.

Młyn dawał cień tak głęboki, że już wkrótce grzeszne myśli poczęły Jadźce pląsać po głowie. Naszła na Bronka barkiem, jak klacz jakaś. W mig połapał się, o co jej chodzi. Zarzucił jej łapę na szyję i cmoknął, aż się rozległo. O mało mu złoty ząb z górnej szczęki nie wypadł. I jeszcze w głowie mu się zakołowało, bo perfumy „Lajkonik" nozdrza znienacka zaatakowały. Pachnąca była Jadźka, jak nigdy dotąd, a żar bił od niej, że aż strach.

— O, kurczę! — zaskamlał namiętnie.

Zew krwi momentalnie poczuł, dopadł wuefemki, umieścił dziewczynę na tylnym siedzeniu i z zamglonym wzrokiem wyrwał przed siebie. Kasku nie miał, więc kudły rozwiały mu się po indiańsku i smagały rumiane policzki Bułówny. Zamknęła oczy, zapadła w miłosną febrę i przez całą drogę czuła tylko wielki pęd. Kto im mógł teraz nafiukać?! Nikt! Bak pełny, motor gra, ochota jest, a wiosna w całej pełni. Pod siedzeniem czekało w pogotowiu radio tranzystorowe, a u Bronka w marynarce leżała zapasowa bateria. Jakby co, to przygrywać sobie można przez całą noc.

W promieniach zachodzącego słońca ostro wyhamowali przed remizą. Orkiestra już rżnęła na wysokich tonach, więc i układy krwionośne w całej okolicy z potrójną prędkością przetaczały krew. A serce Bronka tętniło co najmniej jak wodospad, kiedy tak kłuły go w plecy ciepłe cycki Jadźki.

Podniósł hardo głowę i oparł motocykl o ścianę, tuż obok rozanielonych osobników, obciągających kolejną flaszkę pokoju. Splunął przez ramię dla fasonu, zarechotał do Jadźki i raz jeszcze rozpalił motor. Wiedział, co robi! Zawarczał gazem do oporu i obznajmił, że przyjechał ze swoją upatrzoną. Chłopaki poodwracali rosochate łby, japy rozdziawili i patrzyli...

A było na co! Jadźka pokonywała akurat schody. Jej nogi, nienawykłe do szpilek, obsuwały się i chwiały podejrzanie raz po raz. Bronek spod oka patrzył na ambitną zwiewność swej przywiedzionej i modlitwę w przyśpieszonym tempie odmawiał, żeby się czasem Jadźka przez barierę nie przegięła i zębów nie wybiła, bo wstyd tak przy ludziach. Pieniądze szerokim gestem wyciągnął z portek jak Onassis, kupił bilety za dwadzieścia złotych, podniósł rękę i pokazał Jadźce paluchem, że światowi ludzie najpierw do baru idą, a dopiero potem tanecznie podrygują.

Smród przyczajony u drzwi baru wcale ich nie przerażał. Bronek nawet poszczuł silniej nogi do przodu, a Jadźka sadziła skokami tuż za nim. Przy stolikach wszyscy od razu zorientowali się, że ci dwoje pławią się w szczęściu i słodyczy.

— O, kurczę! — powiedzieli i wznieśli dwudziesty czwarty toast za zdrowie stryjka, który właśnie dogorywał pod zapleśniałą od wyziewów ścianą.

Bronek kochał ten wielki świat. Wiedział nawet, że w mieście mówią na takich „hajlajfy". Na początek zamówił jedną oranżadę i dwie szklanki. Zapłacił dwanaście pięćdziesiąt jednym rzutem drobniaków. La-la-la, kapela grał Słychać na odległość. Muzyka czule gładzi Jadźczyne zmysły. Jej modne szpilki bezwiednie wybijają szalony rytm na zapiutej podłodze. Przymknęła rozmarzone oczy i nawet nie zauważyła, że przez słomkę obciągnęła w całości jakąś obcą alpagę. Właściciel tego specjału leżał właśnie przewieszony przez poręcz krzesła i uczył się na pamięć piosenki o jakiejś swojej znajomej, która, jak można było domyślić się z zestawu określeń, upodobała sobie powszechnie znaną rozrywkową profesję.

Wymknęli się cichcem, żeby sprzedawczyni nie zauważyła, bo nie mieli już czym płacić, a Bronek przecie jeszcze na orkiestrę miał odłożony ostatni grosz. Rzucił pięć dych skrzypkowi i nabzdyczył się pośrodku sali. Wszyscy widzieli, jaki z niego wiracha. Nawet Józek i wszystkie pozostałe Bruzdy nie mieli odwagi mu podskoczyć. Tymczasem Jadźka coraz mocniej odczuwała kwaśny urok bełta, którego obciągnęła na konto nieznanego barda. Wyraźnie chyliła się ku dechom, zamiast po narzeczeńsku podrygiwać tym, co ma. Bronek już po pierwszym tańcu tak się spocił, jakby go cała familia Bruzdów ze sztachetami w rękach goniła przez cztery wioski.

Ostatkiem sił zapytał przetaczającego się akurat w pobliżu strażaka, czy magazyn otwarty i powlókł tam swoją wyrośniętą kajzerę, mimo że przecie na ten dzień strategię miał zupełnie inną. Niestety, nie krew, ale alpaga pulsowała już w gorących łydach Jadźki. Na mundury strażackie ją zwalił i do skręconych w korkociąg nóg się dobrał. Próbował wszystkich chwytów. Najpierw pomału łapami ucapił za uda — może się rozplączą! Gdzie tam! Tkwiły nieruchomo jak namoknięte słupy. Łatwiej chyba palikiem od pomidorów świnię odrobaczyć. Psiajucha! A to ci dopiero krzepkie babsko. Zawzięła się i śpi. Bronek przyjrzał się jej dokładnie. Tylek oblekła w jakieś ogromniaste majty przeciwpancerne, że bez sapera nie poradzi...

Odsunął się rozeźlony i pociągnął okiem po mundurach. W tej materii obeznany był już lepiej, nie darmo przecie wujek wybił się na kaprala pożarnictwa. Często słuchał wujkowych opowieści, w których soczyste wiąchy klątw mieszały się z niezrozumiałym trelem alkoholowym, ale za to ile w tym było materiału dla jego spragnionej wyobraźni. Orientował się już na przykład, że ciemnotę za pysk trzeba trzymać i od czasu do czasu na chleb i wodę wypuszczać. Ha! Wujek-kapral tradycje wodzowskie w nim zaszczepił. Uświadomiwszy to sobie, Bronek zmarszczył groźnie brwi i łypnął okiem na zatęchłe uda Jadźki.

— Baczność! — zawołał z mocą. — W dwuszeregu zbiórka!

Jadźka rozdęła mocniej chrapy i na tym skończył się stosunek służbowy wodza z drużyną. Bronek parsknął tylko, zniechęcony do ostatka, okrył się mundurem, pod głowę wsunął gaśnicę pianową, w rękę złapał siekierę, żeby go przypadkiem Bruzdowie bez oporu nie zadźgali i — zasnął. Śniło mu się, że wzięli go w kamaszki. Jako jedyny spośród poborowych sprostał regulaminowi i dobremu wychowaniu już od samego początku. Było tak, że jeszcze bez munduru, tuż za bramą podskoczył do jednego takiego z czterema gwiazdkami, wyciągnął grabę, klepnął go po przyjacielsku w plecy i zahuczał:

— Bronio jestem! Dla kumpli „Pryta"!

Potem była ciemna plama w życiorysie — widać film się wywołał w tym miejscu — ale w końcówce już był obecny. Odbyło się to w małym pomieszczeniu bez okien. Zrozumiał tylko, że dostał jedynkę. Znaczy się: wszyscy spali w kołchozie na trzypiętrowych wyrach, a jemu po znajomości kapitan kawalerkę przydzielił.

Bohaterski sen przerwał świt. Bronek obudził się, zamrugał ślepiami i pierwsze, co zobaczył to tyle, że Jadźka rozsupłała nogi, ale przykryła je zawistnie spódnicą.

— Ale chytra! — zamruczał pod nosem i zapragnął nagle sławnym zostać. Będzie sławny, to Jadźka nie będzie się przed nim migać. Sama przełom Dunajca poudaje.

Dlatego Bronek lubił wracać myślami do tej pierwszej randki. Wtedy to odkrył w sobie zamiłowanie do chwały. Jeździł po okolicznych wioskach i gdzie mógł, budował swoją sławę. Zatrzymywał się na przykład przed sklepem w Wólce Młądzkiej i ryczał:

— Eeee, wy tam! Jestem sławny Bronek Pętak, słyszyta? Sławny Bronek z Dziechcińca, he, he... Pamiętajta, parówy!!! — Bronek dodawał gazu, pochylał się nisko i pędził dalej. Po drodze gwizdał przeważnie „Kolorowe jarmarki". W ciągu miesiąca objechał tak całą okolicę. Sława jego sięgała więc jak powiat długi i szeroki.

Ludzie z Dziechcińca obsiewali spokojnie pola i dzięki Bronkowej sławie cieszyli się powszechnym szacunkiem. Umieli to docenić i schodzili Bronkowi z drogi, jak tylko było można. Zresztą wiedzieli, dla kogo to robi. A Jadźka podśpiewywała sobie w dzień z radości, a w nocy gnała przez zagony i randkowała z Bronkiem miłośnie. Sława Bronka rzeczywiście doprowadziła kochanie Jadźki do zenitu, ale do przełomu Dunajca nie dochodziło.

Spływ z pewnością odbyłby się wreszcie, ale przeszkodziła temu nagła wizyta tajemniczych gości. Przyjechali oni żółtą landarą z czerwonym krzyżem, wyli na cały głos przez jakiś dzyndzel na dachu, a w dodatku oślepili jeszcze pół wioski... Coś im migało i migało bez przerwy. Bronka wzięli podstępem. Co prawda złożył się z nimi kilka razy na łopaty, ale zarzucili mu od tyłu siatkę na głowę, poprawili gumową pałą i wrzucili do środka swojego pojazdu. Miotał się tam jeszcze przez jakiś czas, próbował uciec i dosiąść swej wuefemki, ale zrobili mu zastrzyk i padł bez czucia. Znowu zawyli po okolicy i odjechali w nieznane.

Legenda o sławie Bronka i kochaniu Jadźki przetrwała do dziś. Na pamiątkę tego wszyscy w Dziechcińcu na widok karetki pogotowia wieją całymi stadami do pobliskich lasów i zaciekle się tam okopują.

Plotka głosi, że mają tam nawet ukrytą broń, cały arsenał. A pilnuje tego ogromna baba, na którą wszyscy wołają Buła. Ale to nie sprawdzone...

Jan Górec - Rosiński

PRZEZNACZENIE

Nie czekaj
na nic nie czekaj
nasza podróż
zmierza
w nieprzebudzenie

Skruszeją włosy
wypadną zęby
zaciemni się umysł
oślepniesz

Skazany
na powrót do ziemi
zapadniesz w sen

Żaden lichtarz
nie ogłosi
początku światła

Robak
ostatni król
szarych komórek
odprawi requiem

TOŻSAMOŚĆ

Zalepisz oczy sloganami
w duszy bunt
wołanie o światło

sumienie
źródło tożsamości opieczętowanej
walczy o człowieka

NIE ODCHODŹ OD SIEBIE

Nigdy nie odchodź od siebie
nie zdradzaj rdzenia
jeśli w namiętności pożądasz
strzeż korzeni
i pąków

w popiele doświadczenia
zakwitną nowe ziarna

deszcze użyźnią ściółkę
nadzieja opatrzy rany
kiełki ruszą ku runi
drzewo ku owocom

Idź w świt
prześwit ciszę
nim cień się zamknie w oczach
i rzęsy gromnicznej świeczki
uronią
ostatnią łzę

ORCHIDEA

Może to oczy
wykarmionej rosą i słońcem
szukającej olśnienia
olśnionej zachwytem ogrodu
rozkwitły
kwiatem orchidei?

Ścięte ręką ogrodnika
jeszcze po śmierci
rozchyliła powieki
Boże
zmiłuj się nad nami
dziećmi dżungli

NARODZINY WIOSNY

Na początku była błyskawica.
Spadały deszcze i westchnęła Ziemia.
Pąki obudziły ból
i stały się liście.

DRZEWA

zmówiły się w las.
Przywołały ptaki
na weselne gody.

ŁĄKA

zielonym grzebieniem
przeczesała trawy.
Rozniosła kwiaty
motylom na taniec.

UL

przerwał drzemkę.
Pszczoły ożywiły
struny powietrza.

POLA

wyprowadziły ruń
słońcu i deszczom.
Wstęgami miedz
przetkały horyzont.

RZEKA

obmyła wierzbom
poranione stopy.
Wychudzonym brzegom
zaplotła szuwary.
Ocknęły się wiosła.
Chciwy haczyk
czai się na ryby.

WIATR

bies tysiącskrzydły,
przypędził burzę —
olbrzymią fregatę
strzelającą ogniem.

NIEBO

drży w olśnieniu.
Zawiązuje błękit
w kokardy obłoków.

ŻURAW

przypomniał młodość.
Zaskrzypiał.
Zachłysnął się wiadrem
pełnym wody.

BOCIAN

okrążył słońce.
Donośnym klekotem
oznajmił
narodziny gniazda.

CZŁOWIEK

bierze pług.
Chwyta młot.
Otwiera księgę.
Czyści broń.

1984

Śpiewaj głosem piersiowym!

Wojciech Próchniewicz

TEATR urzekał mnie od najmłodszych lat, a gdy był to teatr muzyczny, albo opera — płonąłem z zachwytu. I nagle zdarzył się cud! Pewnego dnia mogłem urzeczywistnić swoje marzenia i wstąpiłem na deski sceny teatru muzycznego w prowincjonalnym mieście. Dyrektor przyjął mnie bez wahania. Już w kadrach widziałem swój rozwijający się talent obok najwspanialszych głosów w najsławniejszych operach, na tle największych chórów. W rzeczywistości dostałem etat chórzysty-statysty i swe wysiłki skierować musiałem tylko na próbę wejścia drugim głosem i stworzenia pełnej harmonii w mało akustycznej sali. Wejście nigdy mi się nie udawało. Inspektor chóru, byczy chłop, dawał mi regularny wycisk, co zresztą obracało się na dobre, a chórmistrz starał się usilnie, by wpoić mi swoją szkołę sztuki wokalnej, co zresztą na zdrowie mi nie wychodziło.

— Śpiewaj głosem piersiowym! — wrzeszczał, plując dookoła i grożąc mi plikiem nut.

Właśnie wtedy dowiedziałem się, że istnieje „głos piersiowy" (?) i że chórmistrz jest jednojajeczny. Sponiewierany przez chórmistrza, wlokłem się po kilku kwadransach, by zapełnić lukę w operetkowo-groteskowym balecie. Prawdę mówiąc, teatr nigdy nie posiadał odpowiedniej liczby tancerzy. To, co miał, nie byli to, niestety, prawdziwi tancerze. Tak więc wypełniano lukę moją osiemdziesięciokilową postacią, która za żadne skarby nie chciała zrobić szpagatu, tudzież piruetu. W ostateczności zgodziłem się na taniec á la bolero, jako torreador wagi ciężkiej. Wszystko to elegancko wymieszane prowadziło mnie do podwyższonego ciśnienia i kolek wątrobowych.

Jednak w dalszym ciągu byłem pełen śpiewaczego żywiołu i kiedy tylko nadarzyła się okazja, wyłem całym sobą, co niestety wcale mi się nie opłaciło. Kiedy śpiewałem głośno, to kazali mi być cicho, jak cicho, to nikt mnie nie słyszał, dlatego też wtedy przestawałem śpiewać w ogóle.

— Ty! Czemu się opierdalasz?! — wrzasnął na mnie w pewnym momencie chórzysta Słodzik, co wywołało u mnie skazę na mojej finezyjnej wrażliwości słuchowej. Od tej pory do dziś śpiewam różne dźwięki bez kontroli, bez jakiegokolwiek porządku melodycznego. Wydaję z siebie skaleczone melodie-niemelodie jako kaleka w pełnym tego słowa znaczeniu. Ponadto zauważyłem u siebie kompletny zanik słuchu, czego w jeszcze większej mierze nie wybaczę nigdy temu brutalowi Słodzikowi.

Rys. Zygmunt Pytlik

Zrozumiałym było, że przestałem go od tego momentu lubić. Mimo to nie poddawałem się i próbowałem uzupełniać wiadomości o tym teatrze. Najbardziej interesowała mnie możliwość śpiewania bez potrzeby głosu. Problem ten występował i występuje bodajże do dziś w owej placówce kulturalnej. Dowiedziałem się również, że kobiety pracujące w teatrze „chleją" na równi z mężczyznami. Podniosło to teatr w mych oczach, bo respektowanie nakazu dla artystów: wino, kobiety—mężczyźni (niepotrzebne skreślić) i śpiew — było czymś przełomowym i nadającym pełni martwym znaczeniowo murom i metalowej muzyce. Na marginesie dodam, że ruja nachodziła chór mieszany dwa razy na kwartał. Oprócz Słodzika nie lubiłem również Łyska, bo uwłaczał godności artysty i spał w czasie spektaklu. Inspektor chóru prosił go o jedno przynajmniej wyjście w czasie całego przedstawienia, ale ten wiedział, co robi. To mu się po prostu nie opłacało.

— Daj mi spokój — bąkał przez ramię i odwracał się na drugi bok, na swoim zaimprowizowanym łóżku.

Upłynęło parę tygodni, w czasie których coraz bardziej lubiłem teatr, a mniej jego pracowników. Minęło wiele dni żmudnej pracy. Nadszedł wreszcie dzień kolejnej premiery. Zanosiło się na sporą sensację artystyczną. Najpierw wystąpił chór, w którym ja z kolegą wynosiłem dzika, a właściwie genetyczną odmianę świni ze styropianu, z kiełkami imitującymi dziką rasę. Tę świnię należało w trakcie śpiewania zaprezentować widowni, poświadczyć z ręką na sercu, że to bydlę da się upolować, a następnie wskakując za kulisy, rzucić eksponat i wyjść, wdzięcznie pląsając, w rytmie południowych melodii. W trakcie prób sztuka ta udawała mi się za każdym razem...!

Po zniknięciu za kulisami męskiego chóru myśliwych, wyszli na scenę śpiewak oraz aktor. Aktor więcej grał, a mniej śpiewał — właściwie wcale tego nie czynił, a wokalista usiłował śpiewać. Cały chór zebrany za kulisami gorąco dopingował swojego pupila. Każdy nowy dźwięk witany był entuzjastycznymi okrzykami. Niestety, śpiewak chciał, ale nie wytrzymał! Najpierw spocił się i po trzech dalszych taktach zsiniał. I tak był to niewątpliwy sukces w jego artystycznej karierze, że dobrnął do tego miejsca. Dotychczas dochodził do dwóch taktów i to przy pomocy widowni. Wynoszony za kulisy, z wdzięcznością słał uśmiech pobłażliwej, jak zwykle, publiczności i rozdzielał pocałunki.

Balet kobiecy był widowiskiem wesołutkim. Trzy leciwe baletnice tańczyły i co chwila podciągały zbyt obszerne majteczki. Owe majteczki wdzięcznie dyndały na ich „pupkach jak szydełkach", jak to mawiała moja babcia, która oglądała te same panie za czasów ich scenicznego debiutu. Panie te na szczęście nie rozsypały się i o własnych siłach zeszły ze sceny. Balet męski lepiej się trzymał. Wyprowadził go weteran pląsu i wyuzdania, a jednocześnie śmiały uwodziciel kobiecej części widowni. Niósł przed sobą dumnie swój wyjątkowo wypukły brzuch — dowód scenicznego zaangażowania i rutyny. Widownia akceptowała go, jako zabytek.

Drugie wejście chóru zakłóciło wydarzenie zmieniające charakter sztuki z sielanki na music-hall z dodatkiem efektów erotycznych i wolnej amerykanki po naszemu. Stało się to w jednej chwili.

Solista, który chciał w swoim powtórnym wejściu zaśpiewać górny dźwięk, jakby to miało dla niego kolosalne znaczenie, zdarł perukę swojemu koledze i markując arię, wydukał:

— Za jakie ja pieniądze tutaj gram, ty chamie??!!! — po czym w podskokach rzucił się za kulisy, a za nim reszta solistów, zdecydowanych w końcu poprosić o podwyżkę, albo kochać się w garderobach według wszelkich wariacji i permutacji.

Wszyscy oni byli artystami i znali wartości swych talentów. Po tym incydencie chór musiał powtórzyć swój numer, co, niestety, nie udało się, bo połowa myśliwych zataczała się, myląc melodie i kroki. Chórzysta Byk, który szedł w pierwszej parze, już w drugim takcie padł ze łzami w oczach na kolana i błagał, by go wyniesiono z tego przybytku zła i propagandy. W rytmie bolera zniesiono jeszcze dwóch tancerzy i jedną tancerkę, a publiczność w tym czasie wyła z zachwytu.

W trzecim akcie soliści uzyskali przebaczenie i wrócili na scenę. Niestety, nie dotrzymali słowa danego panu dyrektorowi i pozapominali połowę swoich ról, stąd też do końca przedstawienia improwizowali. Jeden z solistów, starszy jegomość, grający papcia, nie słynął z inwencji. Przez resztę wieczoru milczał, udając, ku uciesze najmłodszych, misia Jogy.

Zrozumiałem, że stoję przed ogromną szansą zaprezentowania swych zdolności śpiewu solowego i ukazania wszystkich kolorów swej indywidualności. Stałem właśnie za kulisami wpatrzony w drewniane schodki, którymi chór myśliwych miał wbiec na scenę z nożami w dłoniach, wydając głośne okrzyki: „sza!!!". I nagle pełen emocji złapałem poręcz, wdzierając się w światło reflektorów. Nie przeszkodził mi w tym nawet jakiś głośny trzask. Dopiero stojąc w pełnym świetle zauważyłem u siebie w jednej dłoni nóż, a w drugiej poręcz wyrwaną ze schodków. Szybko odrzuciłem ją za kulisy, gdzie trafiłem w nasz czołowy sopran. Wydał on swój najwyższy dźwięk donośnie, aczkolwiek z nadmiernym, jak na sceniczny, nerwem. Równocześnie kątem oka zauważyłem dyrektora, który uniósł poręcz i przygotowywał się na spotkanie ze mną tuż za kulisami. Pomógł mi jak zwykle przypadek. Przy składaniu ukłonu księżniczce Trebizondy spadła mi peruka i w trakcie kolejnego tańca wyczołgałem się przez budkę suflera.

Nie wiem dlaczego, ale w pogoń za mną rzucił się cały teatr. Gonił mnie dyrektor, księgowe, nadzy soliści, pijani chórzyści i chórzystki, muzycy oraz pan dyrygent. Uciekałem pełen smutku, bo polubiłem teatr muzyczny w prowincjonalnym mieście. W przyszłości miało się okazać, że całkiem niepotrzebnie. Muzy pałętające się tam między kulisami były chore. Melpomena przechodziła wyjątkowo silne delirium, a Euterpe narzekała na syfilis.

Ze zbioru opowiadań przygotowywanych do druku.

MONTE CASSINO

Dokończenie ze str. 1

z wściekłych kontratakach cofnęli się po utracie Neapolu z początkiem listopada na pozycję „Winterstellung", za rzeki Garigliano, Rapido, Sandro. „Zatrzasnęli bramę" zatarasowaną fortyfikacjami na drodze do Rzymu wzdłuż Liri. Przegrupowali siły w ramach Grupy Armii „C" w składzie 10 i 14 Armia, które otrzymały uzupełnienia. Alianci uporządkowali zaplecze, podciągnęli odwody, zorganizowali komunikację, usiłowali rozpoznać system fortyfikacji, gotowali się do operacji zaczepnej o kryptonimie „Shigle".

Na jej rychłe rozpoczęcie nalegał Stalin w Teheranie (spotkanie „Wielkiej Trójki" 27 listopada — 2 grudnia 1943 r.), stanowczo domagając się od aliantów sojuszniczego wsparcia przez „drugi front", bowiem od działań pod Dieppe (operacja „Jubilée" 19 sierpnia 1942 r. będąca próbą desantu przez kanał La Manche) minęło 16 miesięcy, zaś alianci rozpoczęli wyzwalanie Europy od drugorzędnego kierunku, lądując na Sycylii, choć z ich politycznego punktu widzenia, pierwszorzędnego...

12 stycznia 1944 r. rozpoczęła się I faza bitwy natarciem 10 Korpusu bryt., 2 Korpusu amer. i Francuskiego Korpusu Eksped. Tylko Francuzi, obchodząc skrzydło „linii Gustawa", osiągnęli powodzenie. Amerykanie doszli do zboczy wzgórza 593 za cenę ogromnych strat: w ciągu 48 godzin walki poległo 1 681 ludzi, prawie 80% stanów oddziałów... Ogółem I faza walk pochłonęła 6 487 alianckich żołnierzy. Była to straszliwa danina złożona tylko za rozpoznanie systemu fortyfikacyjnego Niemców. Mimo desantu Amerykanów pod Anzio i Nettuno (22 stycznia) na głębokich tyłach i skrzydle „Winterstellung", tu na kierunku Cassino niemiecka obrona nie słabła.

15 lutego rozpoczęła się II faza bitwy od nalotu 254 bombowców, które zwaliły blisko 600 ton bomb na klasztor Monte Cassino. W nocy kontynuowano silny ostrzał artyleryjski. Natarcia Hindusów skończyły się równie krwawo ze stratą blisko 1 500 poległych. 16 i 18 lutego powtórzono ciężkie bombardowania klasztoru, wyprzedzające natarcie 2 Korpusu nowozelandzkiego, który w nocnym boju 18 lutego zajął stację Cassino, ale Niemcy w kontrataku wyparli Nowozelandczyków aż za rzekę Rapido. W ciągu 24 godzin walk Korpus stracił blisko 2 400 żołnierzy. W tych okolicznościach rosła straszna legenda bitwy...

III fazę rozpoczęto 15 marca od nalotu 514 bombowców, które w ciągu 3,5 godziny zrzuciły tysiąc bomb na ruiny miasteczka Cassino i wzgórze klasztorne. Bezpośrednio po bombardowaniu nawała z 600 dział torowała drogę ruchomym wałem ognia dla nowego natarcia Nowozelandczyków, zaś 580 myśliwców z powietrza wspierało te działania. Po 8 dniach zażartych walk Korpus wdarł się do ruin miasteczka, zdobył kilka wzniesień w sąsiedztwie, ale pozycja obronna „linii Gustawa" nie tylko nie została przerwana, nawet poważniej zagrożona! Tylko 2 dyw. nowozel. straciła 1 316 zabitych a 4 hinduska blisko 3 tys.

Fallschirmjägerdivision i klasztor zwyciężyły — raportował gen. Alexander. Poirytowany Churchill przysłał mu (21 marca) telegram: „Pragnąłbym, aby mi Pan zechciał wyjaśnić, dlaczego to przejście pod Cassino, pod wzgórzem klasztornym itp., szerokości zaledwie 3 600—4 800 m jest jedynym kierunkiem, w którym musi Pan bez przerwy uderzać? Prawie pięć lub nawet sześć dywizji zostało w tej czeluści już zniszczonych [...]. Niech Pan jednak postara się wyjaśnić, dlaczego nie można wykonać żadnych poruszeń oskrzydlających?" W odpowiedzi gen. Alexander zawile wyjaśniał przyczyny niepowodzeń i wkrótce utracił dowództwo.

Dotychczasowe krwawe walki dowiodły niesamowitej siły obronnej „linii Gustawa" i pełnej determinacji oraz sprawności bojowej żołnierzy 1 dyw. spadochr. i 14 korpusu panc Wehrmachtu, ale sprzymierzeni, jakby zafascynowani jednym i jedynym jak dotąd kierunkiem natarcia, z równym uporem dążyli do pokonania przeciwnika. Zapadła decyzja dowódców 15 GA i 8 A bryt. o wprowadzeniu do walki na tym odcinku 2 Korpusu Polskiego...

I tu dotykamy wątku legendy — dalszego jej ciągu, jeśli chodzi o całą bitwę, początku jej polskich splotów i można rzec — dziejów. Pierwszeństwo wśród twórców legendy należy chyba do Melchiora Wańkowicza, który już w rok po maju 1944 zaczął publikować wielki reportaż „Bitwa o Monte Cassino" (Rzym-Mediolan 1945-1947, t. 1-3) i świadomie podbarwił, delikatnie mówiąc jeden z najistotniejszych faktów o zakresie zadania postawionego Polakom, które „skrócił" do myśli: „zdobyć masyw górski i klasztor Monte Cassino" W tym wydaniu, a potwierdza to tylko gen. Anders („Bez ostatniego rozkazu. Wspomnienia z lat 1939-1946", Newton 1949; także: „Memoires", Paris 1948), tak właśnie określił Wańkowicz zadanie dla 2 Korpusu. Wykonanie takiego rozkazu wymagało powtórzenia po raz czwarty straszliwego szturmu na kierunek klasztoru! Według innych autorów *), a panuje tu raczej zgodność poglądów, zadanie postawione przez gen. Leese brzmiało — „w pierwszej kolejności odizolować rejon wzgórza klasztoru Monte Cassino, od północy i północnego wschodu oraz uzyskać panowanie nad drogą nr 6 do czasu nawiązania łączności taktycznej z 13 korpusem, a następnie natrzeć i zdobyć klasztor Monte Cassino, w drugiej zaś kolejności — nawiązać styczność z linią Adolfa Hitlera na północ od drogi nr 6 i przeprowadzić działania oskrzydlające ją od północy". Dlaczego Anders wysunął zdobycie wzgórza z klasztorem jako główne, pierwsze, wręcz jedyne zadanie Korpusu? Dlaczego powtórzył to Wańkowicz? Trochę sam to wyjaśnił w wywiadzie publikowanym na łamach „Magazynu Polskiego" (1958, nr 6), wypowiadając się „O wydaniu krajowym Monte Cassino" w dość bezceremonialny sposób, że chciał „... podać spuściznę historyczną Polsce bez rejwachu". Tworzył legendę? Gen. Anders stwierdził, że gen. Leese pozostawił do jego własnego uznania wybór kierunku natarcia. Anders, jak wiadomo, to już mówią fakty, wybrał najtrudniejszą z trudnych drogę natarcia Do tego — wbrew stanowisku Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych (gen. K. Sosnkowskiego), który, orientując się w sytuacji, że rozstrzyga się w dowództwie 15 GA sprawa udziału Polaków w IV fazie walk, zapowiedział szybkie przybycie do Włoch. Anders na trzy dni przed przyjazdem Sosnkowskiego nie tylko samowolnie (bez wiedzy Naczelnego Wodza) wyraził zgodę na wprowadzenie do walki 2 Korpusu, ale zdecydował o kierunku natarcia!

Bastion Monte Cassino miał zapewnione nowe ofiary, legenda bitwy — ciąg dalszy, zaś samowola, żądza sławy i próżność dowódcy Polaków zdumiały niejednego historyka tej bitwy.

E. Linklater („The Campaign in Italy", London 1959) napisze: „Pod Monte Cassino skapitulowali Amerykanie. Pokonało ono również Ghurków, strzelców Rajputana oraz Hindusów z 4 dywizji. Nowozelandczycy pozostawili również wielu swych poległych towarzyszy w mieście u podnóża klasztoru. Teraz Polacy mieli z kolei pokusić się o zdobycie klasztoru". W innym miejscu doda: „Nikt poza Polakami nie mógł podjąć się z entuzjazmem wykonania tego straszliwego zadania. Ciekawe było jednak, w jaki sposób Polacy, z cechującą ich zawsze, niezniszczalną ułańską brawurą oraz impetem, podejmą w praktyce wykonanie tego natarcia".

I podjęli się. Gdy się czyta wspomnienia gen. Andersa (szczególnie s. 130—132), gdzie relacjonuje pracę własną i sztabu, wprost niewiarygodną wydaje się decyzja uderzenia w sam środek górzystej areny i wystawienia pod rażący ogień (z trzech stron!) nacierających oddziałów. Była to wręcz decyzja najgorsza, jaką mógł podjąć gen. Anders po osobistym rozpoznaniu lotniczym terenu przyszłego natarcia. Potem Anders napisze: „Żniwo śmierci i męki ludzkiej było nader obfite" (s. 228). Kto to żniwo tak przygotował? Ale, pytając, wypada wskazać tekst o 6 stronic wcześniejszy, z tej samej książki...

2 Korpus Polski gotował się do bitwy. 25 kwietnia liczył dokładnie 45 999 żołnierzy, 3 Dyw. Strzelców Karpackich, 5 Kresowa Dyw. Piech., 2 bryg. pancerna i jednostki pozadywizyjne. Po latach bystry obserwator (uczestnik walk F. Majdalany) tak o nich napisze: „Dla Polaków kampania we Włoszech była niejako wyprawą krzyżową. Dlatego cechowała ich zimna, zawzięta, z trudem opanowywana furia. Mieli zresztą daleko większe prawo do nienawiści niż inni sojusznicy. Przebyli daleką i ciernistą drogę, by zewrzeć się z wrogiem, który zniszczył ich kraj i dopuścił się tam masowych okrucieństw. Toteż jasne było, że szturmując nie będą stosowali półśrodków. Chwilami ich skupiona, niemal ponura powaga kontrastowała ostro z pozorną niefrasobliwością ich brytyjskich towarzyszy broni. Ci zaś zastanawiali się nieraz nad pytaniem, czy ta gorliwość i zawziętość Polaków nie stanie się przypadkowo ich nieszczęściem, tzn. czy nie pochłonie zbyt wielkich ofiar? Pewne było natomiast, że ci polscy żołnierze dadzą z siebie wszystko. Wzięli bowiem na siebie chętnie najmniej wdzięczne z wielu niewdzięcznych zadań nowej ofensywy, wdzierania się na zdradliwe zbocza i szczyty tak samo gęsto zasłane zwłokami jak głazami".

Tak było. Żołnierz był dzielny, zawzięty, zdeterminowany; jego wódz — samowolny i egoistyczny. „Pióropusz biały panu się śni" — rzuci gen. Sosnkowski w ostrym sporze o kierunek natarcia, a Anders to z emfazą powtórzy w swoich wspomnieniach!

Niemcy pomiędzy III a nadchodzącą IV fazą bitwy poprawili uszkodzone fortyfikacje, nawet wznieśli nowe, udoskonalili system ognia. Teren pozostał ten sam. Straszliwie tylko zrujnowany, rzekłbym jeszcze trudniejszy, do tego pełen nie pogrzebanych, poległych w walkach od 12 stycznia, zwłok, dalej masakrowanych ogniem i złomem skalnym. Przez to niesamowite cmentarzysko trzeba było przejść, by pójść do ataku.

IV faza bitwy, okryta kryptonimem „Diadem", rozpoczęła się 11 maja o godz. 23.00 od zmasowanego ognia 1 600 dział. Niestety, pomimo dobrej pogody i poprzednich ustaleń, alianckie lotnictwo nie zbombardowało pozycji niemieckich na polskim odcinku natarcia. Do tego Polacy musieli niepostrzeżenie dojść na pozycje wyjściowe i ruszyli dopiero o 1.15, gdy Niemcy opanowali już szok po nawale artyleryjskiej... W ciężkim boju oddziały 1 Brygady Strzelców Karpackich (3 DSK) zdobyły wzgórze 593 i parły z „Gardzieli" na Massa Albaneta i wzgórze 569. Ponosiły wielkie straty od krzyżowego ognia ze wzgórza 576, ruin klasztoru, z Belmonte i Cifalco, które biły z flanki. Te ostatnie nie zostały nawet ostrzelane przez aliancką artylerię, bo leżały poza pasem polskiego natarcia. O 3.10 wyszedł pierwszy kontratak niemieckich spadochroniarzy. Odparty. Potem kolejne coraz częściej... Sytuacja strzelców karpackich stawała się dramatyczna, bowiem zerwana została łączność i brakło wsparcia własnej artylerii, zaś ogień niemiecki z nastaniem świtu i dnia był coraz bardziej precyzyjny. Polacy nie zdołali przełamać pasa fortyfikacji, zalegli pod ogniem bez wody, pożywienia, przy braku amunicji, bez możliwości opatrzenia rannych. Sytuacja 3 DSK w ciągu dnia 12 maja stała się tak krytyczna, że zdziesiątkowane oddziały pod osłoną nocy wróciły na podstawę wyjściową.

5 Dyw. Kresowa wdarła się na wzgórze „Widmo", osiągnięte, ale nie opanowane przez 5 Wileńską Brygadę.

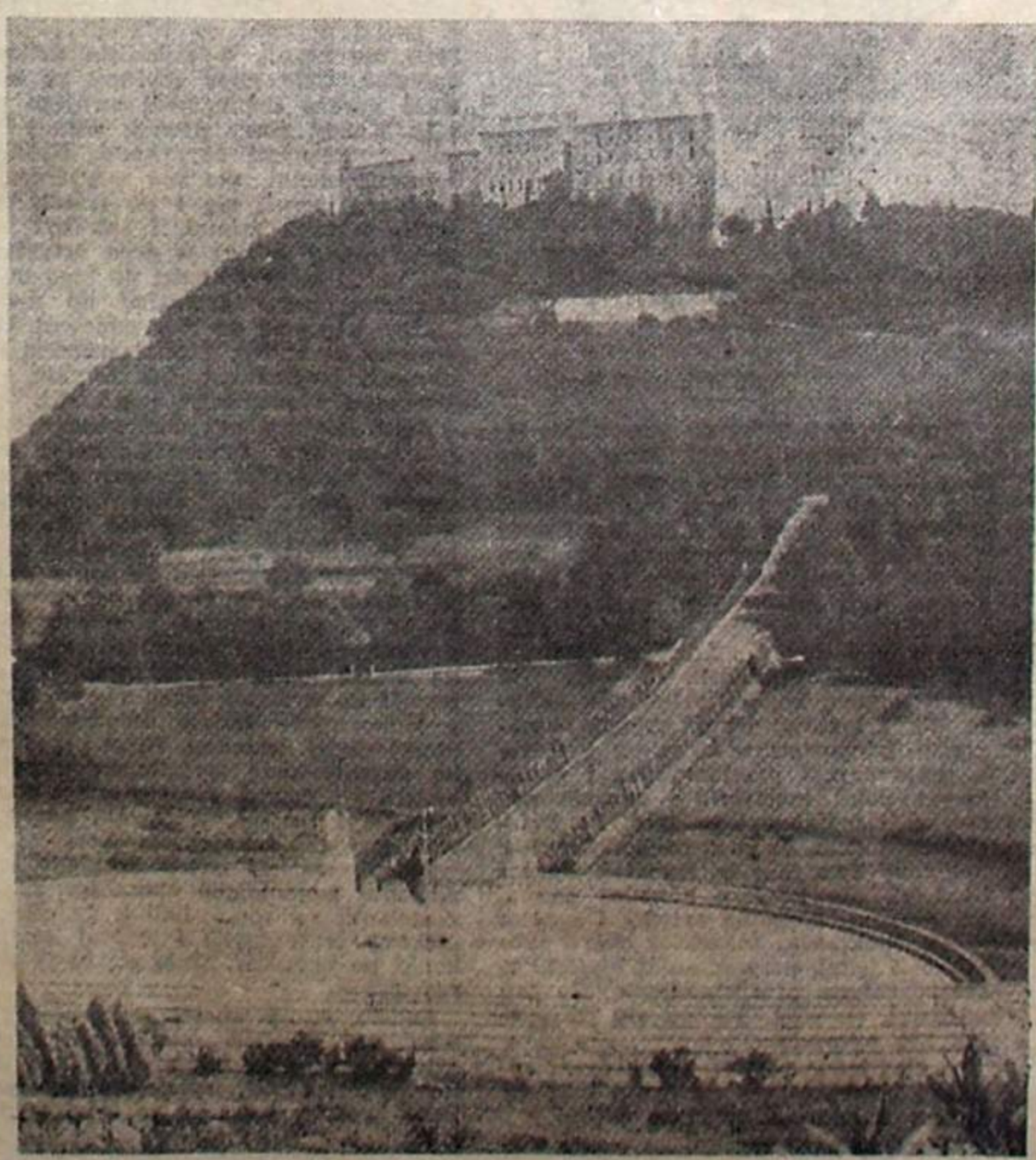

Fot. Tadeusz Chwalczyk

Odznaki 5 Kresowej Dywizji Piechoty

— pamiątkowa

— rozpoznawcza

Najpierw Niemcy ześrodkowali tu ogień ze wzgórz 575, San Angelo i Passo Corno, potem jeszcze Massa Albaneta, a od świtu 12 maja zaczęły wychodzić coraz to nowe kontrataki, odpierane przy ogromnych stratach.

W południe 12 maja bitwa weszła w stadium kryzysu. „Po kilkunastu zaledwie godzinach połowa stanów liczbowych polskich dywizji wykruszyła się" — stwierdzi Majdalany. Oddziały powróciły na pozycje wyjściowe straszliwie skrwawione i wyczerpane.

Trudno pisać o przyczynach porażki, jest ich zbyt wiele. Jedno pozostaje pewne — żołnierz spełnił zadanie z nadludzkim wysiłkiem i męstwem. To umożliwiło innym korpusom alianckim osiągnięcie powodzenia i zdezorientowało na tyle Niemców, że nie zdołali przesunąć odwodów, skutecznie kontratakować na pozycje Francuzów i Brytyjczyków, którzy umocnili przyczółki nad Rapido. I to jest bezsporna — pośrednia wartość polskiego natarcia z 11—12 maja dla całej alianckiej 15 GA. Cena tej korzyści operacyjnej przez hekatombę ofiar była bardzo wysoka, bowiem 2 Korpus nie miał żadnych rezerw, a bitwa nie została zakończona.

Uporządkowano oddziały, przegrupowano, ludzie nieco wytchnęli, uzupełniono zaopatrzenie. Nowe natarcie wyznaczono na 17 maja o godz. 6.30, ale przed wieczorem 16 maja, kiedy 16 baon 5 DKP „poruszył się" w stronę „Widma", by poprawić swoje położenie przed jutrzejszą walką, wyniknął z tego nieoczekiwany sukces i 1 kompania opanowała, wdarła się na północny skraj wzgórza! Była na tyle otoczona przez Niemców, że nie zdecydowali się położyć ognia artylerii, by nie razić własnych załóg w bunkrach. W tej sytuacji kompania nie tylko przetrwała do świtu, ale w nocnych walkach wręcz umocniła swoje pozycje. Piechota obydwu polskich dywizji poszła do ataku o 7.15 i osiągnęła znaczące powodzenie. Podciągnięto amunicję i o 11.00 ponowiono uderzenie. Tym razem udało się utrzymać łączność i natarcie skutecznie wspomagała artyleria, obezwładniając niemieckie kontrataki. Walki były niezwykle krwawe. Na wzgórzu 593 batalion 2 Brygady Strzelców Karpackich zdobywał każdy bunkier z osobna, mając „na sobie" skupiony ogień niemiecki z trzech stron... Ponosił straty. Postępowało wyczerpanie walczących stron. Oto 1 kompania 3 pułku spadochroniarzy w tych walkach stopniała do 3 ludzi! Mimo to w nocy z 17 na 18 maja Niemcy jeszcze trwali na kilku ważnych punktach, ale ich opór jakby osłabł, ogień nie był tak dolegliwy...

Ponownie inne korpusy alianckie, na skutek związania walką przez Polaków głównej pozycji w masywie Monte Cassino, osiągnęły tym razem duże sukcesy — przerwana została „linia Gustawa" w dolinie Liri i przeskrzydlona „linia Hitlera". W tej sytuacji Niemcy zostawili tylko niedobitki oddziałów 1 Dyw. Spadochr. i zaczęli cofać się z ruin klasztoru, wykorzystując osłonę nocy z 17 na 18 maja. Rankiem już tylko w nielicznych punktach Polacy natrafili na opór. O godz. 10.20 patrol pułku ułanów dotarł do ruin klasztoru Benedyktynów i zatknął biało-czerwoną chorągiew! Znak zwycięstwa na polu bitwy siedmiu narodów.

Cena tego sukcesu i chwały była ogromna, choć rzeczywistych strat 2 Korpusu w bitwie o Monte Cassino dokładnie nie ustalono. Zarówno oficjalne wykazy, jak też historycy bitwy notują różne dane: Anders określa straty na 281 oficerów i 3 503 szeregowych, z czego zabitych: 72 oficerów, 788 podoficerów i szeregowców oraz 5 oficerów i 97 szeregowców zaginionych. Rannych 204 oficerów oraz 2 618 podoficerów i szeregowych. Majdalany przyjmuje taką samą ogólną liczbę strat, ale dodaje, że 1/3 to zabici. Skierski („Fakty i cyfry z bitwy o Monte Cassino", w: „Tydzień" 1947, nr 8) podaje 1 051 zabitych, zaś londyńska „Bellona" (1958, nr 1) — 924 zabitych, 2 930 rannych i 345 zaginionych. Na cmentarzu polskim na Monte Cassino jest 117 mogił oficerów oraz 884 podoficerów i szeregowych. Warto dodać, że wielu rannych w bojach o Monte Cassino umierało w różnych szpitalach, nawet w odległym Egipcie i spoczęło na „polskich działkach" cmentarzy alianckich lub na wielonarodowych nekropoliach, i tych ani urzędowe wykazy, a tym bardziej historycy, najczęściej nie sumują do strat 2 Korpusu w okresie 11—18 maja 1944 r. W takiej sytuacji „statystycznej" łatwo o wątki legendy, która żyje w świadomości społecznej.

Ostatniej nocy bitwy z 17 na 18 maja, gdy ważyły się jej losy, powstała pieśń, polska pieśń. Feliks Konarski, powracając z Lucerny po koncercie frontowego teatrzyku, zatrzymał się w Campobasso. Z dala dochodził pogłos bitwy, mrok nad horyzontem rozwidniały wybuchy lub cięły nieboskłon paciorki świetlnych pocisków. Patrzył i pisał...

Czy widzisz te gruzy na szczycie?
Tam wróg twój się kryje jak szczur,
Musicie, musicie, musicie
Za kark wziąć i strącić go z chmur.
I poszli szaleni, zażarci,
I poszli zabijać i mścić,
I poszli jak zawsze uparci,
Jak zawsze — za honor się bić.

Czerwone maki na Monte Cassino,
Zamiast rosy piły polską krew.
Po tych makach szedł żołnierz i ginął,
Lecz silniejszy od śmierci był gniew.
Przejdą lata i wieki przeminą,
Pozostaną ślady dawnych dni
I wszystkie maki na Monte Cassino
Czerwieńsze będą, bo z polskiej wzrosną krwi.

Runęli przez ogień straceńcy,
Niejeden z nich dostał i padł,
Jak ci z Samosierry szaleńcy,
Jak ci spod Rokitny sprzed lat.
Runęli impetem szalonym
I doszli. I udał się szturm.
I sztandar swój biało-czerwony
Zatknęli na gruzach wśród chmur,
Czerwone maki...

Ukończył tekst około 3 nad ranem 18 maja, odszukał kwaterę akompaniatora teatrzyku Alfreda Schütza i „zmusił go" do komponowania melodii. Do białego rana ćwiczyli z resztą zespołu. „Rano pojechaliśmy w stronę Monte Cassino — wspominał A. Schütz — Wzgórze milczało. Dymiły gruzy dawnego opactwa benedyktynów. Po drodze minęliśmy samotny grób żołnierski, krzyż i pod krzyżem maki w łusce od pocisku. Konarski w drodze dopisał jeszcze jedną zwrotkę".

Czy widzisz ten rząd białych krzyży?
To Polak z honorem brał ślub.
Idź naprzód! Im dalej, im wyżej,
Tym więcej ich znajdziesz u stóp.
Ta ziemia do Polski należy,
Choć Polska daleko jest stąd,
Bo wolność krzyżami się mierzy,
Historia ten jeden ma błąd.
Czerwone maki...

W dalszej drodze natknęli się na grupę żołnierzy i oficerów z oddziału tyłowego 2 Korpusu. Ktoś z zespołu napisał na kartonie refren. Zaczęli wspólnie śpiewać i płakać... W oddali na szczycie klasztornego wzgórza dostrzegli biało-czerwoną chorągiew!

W 25 rocznicę bitwy F. Konarski dopisał czwartą, ostatnią zwrotkę:

Ćwierć wieku, koledzy za nami,
Rzewny ulotnił się pył
I klasztor białymi murami
Na nowo do nieba się wzbił.
Lecz pamięć tych nocy upiornych
I krwi, co przelała się tu,
Odzywa się w dzwonach klasztornych,
Śniących poległym do snu.

To jest ostatni krąg prawdy i legendy o bitwie, o pieśni, która tak łączy Polaków.

Mieczysław Wieliczko

*) H. Piątkowski, Bitwa o Monte Cassino, Rzym 1945. J. Mordal, Cassino, Paris 1951. J. Bielatowicz, Monte Cassino. W dziesięciolecie bitwy, Londyn 1954. F. Majdalany, Cassino, Portrait of a Battle, London 1957. S. Biegański, Przebieg operacyjny bitwy o Monte Cassino, w: „Bellona" (Londyn, 1959, nr 2). A. L. Juin, Campagne d'Italie. Paris 1962. K. Rosen-Zawadzki, Z dziejów 2 Korpusu Polskiego. Uwagi i polemiki, Warszawa 1964 (z tej publikacji wybrałem większość cytatów).

Odznaki 2 Warszawskiej Dywizji Piechoty

— pamiątkowa

— rozpoznawcza

40-lecie bitwy oddziału AL pod Rąblowem

Partyzanci przeciw „Burzy majowej"

Roman Wójcik

We „Wspomnieniach »Przepiórki«" płka Edwarda Gronczewskiego czytamy, że 1 maja 1944 roku partyzanci II Obwodu Armii Ludowej na Lubelszczyźnie świętowali jak ludzie wolni. „Na uroczystość we wsi Bójki koło Lubartowa przybyły wszystkie oddziały AL, przebywające w tym czasie w Lasach Parczewskich, okoliczne garnizony AL i ludność cywilna. Podczas akademii wygłosili przemówienia przedstawiciele władz partyjnych, konspiracyjnej Wojewódzkiej Rady Narodowej i dowództwa Obwodu AL. Po przemówieniach odbył się przed trybuną przemarsz oddziałów partyzanckich. Defiladę przyjął gen. Michał Żymierski, ps. Rola. Potem rozpoczęła się część artystyczna, na którą złożyły się występy partyzantów na zaimprowizowanej scenie oraz zabawa ludowa".

Tak to żegnała ludowa partyzantka północną Lubelszczyznę przed wymarszem na południe — do Lasów Janowskich, gdzie zarządzono koncentrację wszystkich oddziałów AL.

Zgrupowanie II Obwodu liczyło ponad ośmiuset żołnierzy. Szła z nimi także kompania partyzantów radzieckich z oddziału majora Włodzimierza Czepigi, dołączył pluton AK Zbigniewa Stępki i jednostka BCh Zygmunta Goławskiego. „Koni mieliśmy ze sobą nie mniej niż sto pięćdziesiąt — napisze Mieczysław Moczar, dowódca zgrupowania i zarazem dowódca II Obwodu AL. — Kolumna rozciągnęła się więc daleko. Naszych tysiąc ludzi wyglądało w tym marszu na kilka tysięcy. Cała potęga!"

W tym samym czasie Niemcy rozpoczęli w Lubelskiem wielką akcję pod nazwą „Maigewitter" — „Burza majowa". Jej celem było „oczyszczenie" zaplecza frontowego hitlerowskiej armii „Północna Ukraina". Okupant w pięciu batalionach sformował 2 tys. żołnierzy i policję, żandarmerię, siły porządkowe i ochronne, które wzmocnił oddziałami z pancernej dywizji SS „Wiking".

6 maja 1944 roku doszło do pierwszego starcia pod Ostrowem Lubelskim. 11 maja wywiązał się gwałtowny bój we wsi Dąbrówka. Kolejną całodzienną bitwę stoczono 12 maja w lasach koło Amelina. Partyzanci — bez większych strat — odparli ataki hitlerowców i maszerując nocą przedarli się na teren powiatu puławskiego.

Fot. Henryk Hermanowicz

W nocy z 13 na 14 maja oddziały Moczara zatrzymały się w miejscowości Rąblów. Przed południem nieprzyjaciel otoczył wieś. Partyzanci wycofali się na lesiste wzgórze nie opodal Rąblowa. Niemcy sześć razy usiłowali przełamać ich pozycję. Po każdej porażce ponawiali ostrzał artyleryjski i wprowadzali do akcji dziewięć samolotów bombardujących.

„Wszystkie te ataki — wspomina Mieczysław Moczar — kończyły się sromotną porażką wroga, choć hitlerowcy niejednokrotnie wdzierali się do lasu i spotykali się z nami w walce wręcz. Na ataki odpowiadaliśmy kontratakami, które powodowały wśród Niemców duże straty. Gdy zaistniała pilna potrzeba dostarczenia rannym wody, po trzecim z kolei ataku zdobyliśmy szturmem płonącą zagrodę, gdzie znajdowała się studnia. Wróg nie zdobył się już na obronę tego miejsca, choć na pewno zorientował się, o co nam chodzi".

Partyzanci utrzymali swoje pozycje do zmroku. W nocy zgrupowanie skrycie i partiami wyszło — bez strat — z okrążenia, większość sił AL zawróciła do Lasów Parczewskich, kompania radziecka przedarła się do Lasów Janowskich, jeden oddział z rannymi rozproszył się po placówkach AL i BCh w Puławskiem.

W boju pod Rąblowem — jednej z największych bitew partyzanckich na terytorium Polski — poległo 26 polskich i radzieckich żołnierzy. Straty po stronie przeciwnika obliczono na około 300 zabitych i rannych.

(KAR)

Pod tytułem:

EPILOG NADUŻYWANIA KOMPETENCJI

Pan Andrzej Kawecki, zamieszkały w Zwierzyńcu przy ul. Partyzantów 14 A m. 1, nadesłał list do „Kameny" na ręce „redaktora Kazimierza Andrzeja Jaworskiego". List ma datę 3 kwietnia 1984 roku, a adresat zmarł 6 września 1973 roku, mogliśmy więc list z odpowiednią adnotacją odesłać na ręce nadawcy. Niemniej drukujemy go in extenso, gdyż rzecz dotyczy lat 1981 — 1983.

Pan Kawecki pisze:

„Ponieważ zamieszczony w „Kamenie" Nr 15 (782) z dnia 17.VII.83. artykuł redaktora Stanisława Harasimiuka p.t. „Po strzałach w rezerwacie — Wyrok — Postscriptum" nie tylko nie spełnił, lecz i wypaczył nałożone na niego zobowiązanie odwołania zarzutów o określonej treści oraz ponownie przedstawił publicznie cały szereg insynuacji godzących w moje dobra osobiste, dlatego uprzejmie proszę (zgodnie z poprzednim ustaleniem) o zamieszczenie na koszt pozwanego w Waszym czasopiśmie poniższej treści zawartych w prawomocnych wyrokach, pod tytułem EPILOG NADUŻYWANIA KOMPETENCJI:

Sąd Wojewódzki w Lublinie wyrokiem z dnia 11 kwietnia 1983 roku zobowiązał pozwanego Stanisława Harasimiuka do odwołania w czasopiśmie „Kamena" zniesławiających powoda Andrzeja Kaweckiego zarzutów zawartych w artykule pod tytułem „Strzały w rezerwacie" zamieszczonym w czasopiśmie „Kamena" z dnia 29 marca 1981 r. Nr 7/727 i dokonanych na jego podstawie przedrukach ogłoszonych w czasopismach „Sztandar Ludu" Nr 68 Lublin dnia 3, 4 i 5 kwietnia 1981 r., „Polityka" Nr 16 Warszawa dnia 18 kwietnia 1981 r., „Kulisy" Nr 21/1267 Warszawa dnia 24 maja 1981 r. dotyczących w szczególności polowania niezgodnego z zasadami łowiectwa, osiągania nienależnych i nadmiernych korzyści, nadużywania stanowiska do bezprawnych działań sprzecznych z wykonywanym zawodem — w terminie miesiąca licząc od dnia uprawomocnienia się wyroku, a w wypadku nie wykonania upoważnia powoda do wykonania powyższego na koszt pozwanego.

W uzasadnieniu tego wyroku zawarte jest m.in. stwierdzenie:

Reasumując przyjąć należy, że podane do publicznej wiadomości w omawianym artykule fakty w odniesieniu do powoda w rzeczywistości nie miały miejsca zaś treść artykułu jak również użyte sformułowania obrażają cześć i dobre imię powoda. Poczynione przez pozwanego uogólnienia i sposób ich przedstawienia a także wysuwane sugestie, daleko wykraczają poza treść protokółu kontroli i dane tam zawarte. Przyjmując nawet, że pozwany nie miał obowiązku sprawdzenia czy wyjaśnienia danych zawartych w tym dokumencie, bezprawność jego działania — jest oczywista.

Sąd Najwyższy w Warszawie wyrokiem z dnia 23 września 1983 roku zasądził od pozwanego Stanisława Harasimiuka na rzecz PCK — Zarząd Wojewódzki w Lublinie kwotę 5000 zł uznając go winnym umyślnego wyrządzenia szkody.

W uzasadnieniu tego wyroku zawarte jest m.in. stwierdzenie:

Trudno zatem tak przedstawioną krytykę zaliczyć do rzetelnych, zwłaszcza gdy towarzyszą jej niedopuszczalne i obraźliwe sformułowania a sfera faktograficzna nie została dostatecznie ugruntowana. Nastąpiło świadome przekroczenie granic potrzebnych do osiągnięcia społecznego celu krytyki. W następstwie tego wskazany cel krytyki bądź wogóle zniknął z pola widzenia, bądź wykorzystany został (co potwierdza przebieg procesu i zdarzenia jakie w jego toku nastąpiły) do ironicznych i w dwuznacznym kontekście poczynionych uwag koncentrujących się w zasadzie na osobie przeciwnika. Odczytane one zostały jako uczynione „z wyjątkową zjadliwością, świadczącą o woli — chęci poniżenia i zniszczenia". Akceptacja tego rodzaju zwyczajów (co zdaniem pozwanego jest nieodzowne, zwłaszcza do uprawiania reportażowej formy pisarstwa) godziłyby nie tylko w sferę dóbr osobistych poszkodowanego, ale także w kulturę współżycia społecznego i normy obyczajowe, niwelując ich postęp. Indywidualny temperament i stąd styl pisarski jest i musi być do pogodzenia ze sferą interesów osobistych innego (krytykowanego) podmiotu. W przedmiotowym sporze pogodzenie to oznaczało tylko rezygnację z użycia słów składających się na sformułowania nieprawdziwych i krzywdzących powoda twierdzeń i sądów.

Nie wątpię, iż łamy „Kameny", które już wielokrotnie zamieszczały krzywdzące mnie i niesprawdzone osądy (z wyjątkiem stanowiska załogi i dyrektora Roztoczańskiego Parku Narodowego), tym razem będą przychylne dla mojej rehabilitacji publicznej.

W załączeniu przedkładam:

Odpis wyroku Sądu Najwyższego z dnia 23.IX.83. wraz z uzasadnieniem.

Wypis prawomocnych wyroków sporządzonych przez Sąd Wojewódzki z dnia 26.I.84.

Łączę wyrazy szacunku i poważania."

Wybranych fragmentów uzasadnienia wyroku pan Andrzej Kawecki nie cytuje dosłownie, ale nie zmienia to istoty rzeczy. Wydaje nam się jednak, że z uzasadnienia wyroku warto jeszcze przytoczyć inne fragmenty in extenso:

„W związku z krytyką społeczną odnośnie prawidłowości gospodarki zwierzyną łowną na terenie województwa zamojskiego, Okręgowy Zarząd Dochodów Państwa i Kontroli Finansowej przeprowadził kontrolę również na terenie Roztoczańskiego Parku Narodowego. Objęła ona sprawdzenie prawidłowości odstrzałów dokonywanych przez powoda A. Kaweckiego. Z protokółu tego wynika, że w styczniu 1978 r. powód uzyskał upoważnienie od dyrektora Parku na odstrzał 3 dzików. Dnia 5.I.1978 r. odstrzelił jednego na użytek własny, a 29.I.1968 r. odstrzelił 5 dzików, czyli o 3 sztuki więcej niż opiewało upoważnienie. W styczniu 1979 r. powód otrzymał upoważnienie na odstrzał 2 saren-kozłów, które odstrzelił 22 i 30.I.1979 r. Nadto 31 stycznia 1979 r. powód odstrzelił 2 sztuki, a więc przekroczył upoważnienie o 2 sztuki. Według wyliczeń kontrolujących za dostarczoną do punktu skupu w Zwierzyńcu zwierzynę powód otrzymał kwotę 63 192 zł. Ustalono w protokóle kontroli, że powód 4-krotnie korzystał z samochodów Parku do dostarczenia ubitej zwierzyny. Z ustaleń dokonanych w toku przeprowadzonego przeciwko powodowi dochodzenia pod zarzutem polowania bez zezwolenia i zagarnięcia nienależnej rekompensaty za upolowaną bezprawnie zwierzynę — akta Prokuratury Rejonowej w Zamościu Sygn. Ds 130/81 — wynika, że powód strzelając do watahy dzików oddał dwa strzały, od których padły dwa dziki, zaś trzy dziki zostały zranione i powód je dobił. Strzelając dnia 31 stycznia 1979 r. do sarny ubił jedną i po śladach stwierdził, że zraniona została druga sarna, którą doszedł i dostrzelił. Wydane powodowi zezwolenie

Bajm eksperymentuje

KIEDY jesienią ubiegłego roku spotkałem się na jednej z prób z muzykami grupy Bajm, zastałem ich w doskonałych humorach. Nie byłem wcale zdziwiony. Wydana niedawno kaseta „Polmarku" rozchodziła się znakomicie, a na listach przebojów gościły niezmiennie kompozycje Kozidraków — „Nie ma wody na pustyni" „Diabelski krąg", „Wielka moc", „Okey, okey, nic nie wiem, nic nie wiem" i „Prorocy świata". Lansowany w środkach masowego przekazu, Bajm był u szczytu estradowego powodzenia. Do pełni szczęścia brakowało mu tylko dużej płyty i o niej myślano intensywnie od początków września. Jasne było, że repertuar dysku powinien zaskoczyć fanów, osłuchanych z piosenkami zespołu, przynieść zupełnie inne niż dotąd rozwiązania kolorystyczno-brzmieniowe.

Zima upłynęła pod znakiem intensywnych treningów przy czym tajemnicą otaczano przygotowywane piosenki. Sensacyjna bania pękła dopiero w lutym, kiedy zespół „zaszył się" w lubelskim studiu nagrań. W pracy nad nową płytą sekundował mu dzielnie realizator dźwięku, Józef Nowakowski. To on nadał pomysłom Beaty i Jarosława Kozidraków bardzo atrakcyjną formę. Kiedy sesja nagraniowa dobiegała końca, przypadkowi słuchacze nie mogli wprost nadziwić się metamorfozie brzmieniowej, jaką przeszedł Bajm. Jego nowe nagrania mogłyby od razu trafić na listy bestsellerów. Ciekawe melodycznie, opatrzone mnóstwem kapitalnych efektów dźwiękowych, a przy tym niesłychanie rytmiczne, różnią się zasadniczo od tego, co zespół wykonywał przed rokiem. Co prawda trudno określić, kiedy zawitają na antenę radiową, ale powodzenie mają murowane. Zresztą zainteresowanie towarzyszące zwiastunom tej sesji — piosenkom „Małpa i ja" oraz „Ściany mają uszy" mówi samo za siebie. Na adres centralnego Fan Clubu zespołu, mieszczącego się w Świdniku, przychodzi każdego dnia kilkadziesiąt listów z całej Polski.

Dziewięć premierowych kompozycji Bajmu trafi prawdopodobnie zimą br. na dużą płytę jednej z firm polonijnych. Nieco wcześniej, bo jeszcze w tym miesiącu, powinien dotrzeć do sklepów pierwszy album zespołu, zawierający, ku uciesze kolekcjonerów, większość jego dotychczasowych szlagierów. Co by powiedzieć, pierwsze półrocze upływa lubelskim muzykom bardzo pracowicie. Po lutowej sesji nagraniowej zaproponowano im podróż

Fot. Antoni Zdebiak

opiewało na 2 sarny kozy i 2 sarny koźlęta. Powód uzyskał dnia 22.I.1979 1 sarnę i 1 sarnę koźlę, w dniu 30.I. sarnę kozę i dnia 31.I. 2 sarny kozy, z czego wynikałoby, że dokonał on odstrzału 2 saren kóz bez zezwolenia. Nie wykonał natomiast odstrzału sarny koźlęcia. Podział na sarny kozy i sarny koźlęta uzależniony jest od wagi. Zgodnie z obowiązującymi w tym zakresie przepisami za sarnę koźlę uznaje się sztukę do wagi 18 kg. Ubite bez zezwolenia sztuki mieściły się w tej wadze. Można zatem mówić, że powód dokonał odstrzału ponad zezwolenie 1 sarny kozy. Stosownie do opinii wyrażonej przez J. Miśkiewicza etycznym i humanitarnym obowiązkiem myśliwego jest dojście do postrzelonej zwierzyny i uzyskanie jej. Jedynym odpowiadającym prawdzie w publikacji pozwanego jest fakt odstrzału ponad zezwolenie, jednocześnie pominięty został wynikający z protokółu fakt, że plan odstrzału nie był wykonywany, a szkody czynione przez zwierzynę były znaczne..."

Sądzimy, że publikacja powyższa usatysfakcjonuje pana Andrzeja Kaweckiego. Ze swej strony redakcja pragnie podkreślić, że red. Stanisław Harasimiuk nie jest pracownikiem, ale współpracownikiem „Kameny". Występując przed sądem bronił się sam, nie korzystając z pomocy żadnego adwokata.

Rzeź lasu

Odpowiadając na Wasze pismo z dnia 29 lutego br., przesłane pod naszym adresem wraz z cyklem artykułów red. Henryka Pająka, pragniemy, w pierwszym rzędzie, wyrazić uznanie dla wnikliwości, wielostronności i rzetelności wspomnianej publikacji.

Odnosząc się do meritum poruszonych przez Autora spraw, musimy stwierdzić, że — podstawowy kompleks zagadnień dotyczący ochrony środowiska leśnego i jego eksploatacji leży w kompetencjach Ministerstwa Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego, które niewątpliwie ustosunkuje się do tych problemów, poruszonych przez red. H. Pająka.

Z punktu widzenia Urzędu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej bezsporna jest opinia autora publikacji, dotycząca degradacyjnego wpływu na lasy niektórych zakładów przemysłowych. Jest to wynik wieloletnich zaniedbań i niedoskonałości istniejących rozwiązań techniczno-organizacyjnych. Prace zmierzające do zmiany istniejącego stanu rzeczy prowadzone są od chwili rozpoczęcia wprowadzania reformy gospodarczej, a następnie powołania naszego Urzędu, który przejął obowiązki koordynatora zagadnień ochrony środowiska. Podejmowane przez nas działania winny doprowadzić w następnych latach do skuteczniejszej ochrony środowiska przed zanieczyszczeniami przemysłowymi, zgodnie z założeniami rozpatrzonej przez Prezydium Rządu, w dniu 5 marca br., projektowanej uchwały Rady Ministrów „o kompleksowym programie poprawy gospodarki leśnej do 1990 roku".

Doceniając znaczenie krytyki prasowej i zasługi Waszego Organu na polu ochrony środowiska, oraz licząc na dalszą, owocną współpracę, przesyłamy w załączeniu informację o „Realizacji Ustawy o Ochronie i Kształtowaniu Środowiska", będącą dokumentem skierowanym przez Urząd do Sejmu PRL.

Podsekretarz stanu
Urzędu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej

mgr Krzysztof Zaręba

do Wietnamu. W ocenie członków grupy wypadła ona doskonale, a wrażenia wyniesione ze spotkań z wietnamską publicznością dają się porównywać z temperaturą panującą w tym egzotycznym dla Europejczyka kraju. Była to jedna z najbardziej udanych, a także niezwykłych podróży artystycznych Bajmu.

Lubelska Estrada zdołała „ustrzelić" grupę bezpośrednio po powrocie do kraju, dzięki czemu mogliśmy po raz pierwszy od kilku lat słuchać jej w rodzinnym mieście. Co prawda temperatura w hali WOSiR nie dorównywała tej z Hanoi czy Sajgonu, niemniej i tu było gorąco. Wspólnie z kilkoma tysiącami nastolatków podziwiałem kondycję Beaty Kozidrak, która, mimo strumieni potu, z gracją godną damy poruszała się na estradzie, dając przy okazji popis kunsztu wokalnego. Beata była obok doskonałego gitarzysty Henryka Mazurka najbardziej zapracowaną osobą, jakkolwiek pozostała czwórka nie oszczędzała się.

Zaprezentowany przez nich program był swoistym koktajlem różnych rytmów. Usłyszeliśmy piosenki z 1988 roku, nagrywane tuż po rockowym przeobrażeniu Bajmu — „W drodze do jej serca" i „Żal prostych słów", obok siedemnastoletnich szlagierów „Różowa kula", „Co mi panie dasz", „Józek nie daruję ci tej nocy" i najnowszych propozycji — „Małpa i ja", „Piramidy na niby", „Ściany mają uszy". Serwowane umiejętnie, tworzyły oryginalną dramaturgię koncertu, który śmiało można nazwać wydarzeniem muzycznym. Mniej więcej od połowy widowisko poczęło nabierać coraz większego tempa, by w finale wybuchnąć wspaniałą galopadą świateł, dymów i sztucznych ogni. Stanowiły one dobrą oprawę wieńczącej koncert piosenki „Diabelski krąg", zmysłowo zaśpiewanej przez solistkę. Długo nie milknące brawa najlepiej oddawały emocje młodych entuzjastów rocka.

Przyznam, że dawno nie słyszałem w Lublinie tak dobrze, a przede wszystkim równo grającego zespołu. Bajm ma istotnie powody do chluby. Droga, jaką przeszedł od debiutu piosenką „Piechotą do lata" zaskakuje niejednego obserwatora rodzimej rozrywki. Z prowincjonalnego zespołu, wykonującego ballady o nieskomplikowanych melodiach, wyrósł Bajm na markowego wykonawcę pop-rocka, który systematycznie pnie się po szczeblach estradowej kariery. Nie zdziwię się wcale, jeśli w tym roku uplasuje się on w ścisłej czołówce najchętniej słuchanych wykonawców sceny rockowej. **Program proponowany młodym odbiorcom ma wszystkie atuty przebojowego widowiska. Myślę, że do sukcesu grupy przyczyni się walnie premiera obu płyt, od dawna wyczekiwanych przez wiernych sympatyków.**

Istvan Grabowski

Krzyżówka nr 11 z szyfrem

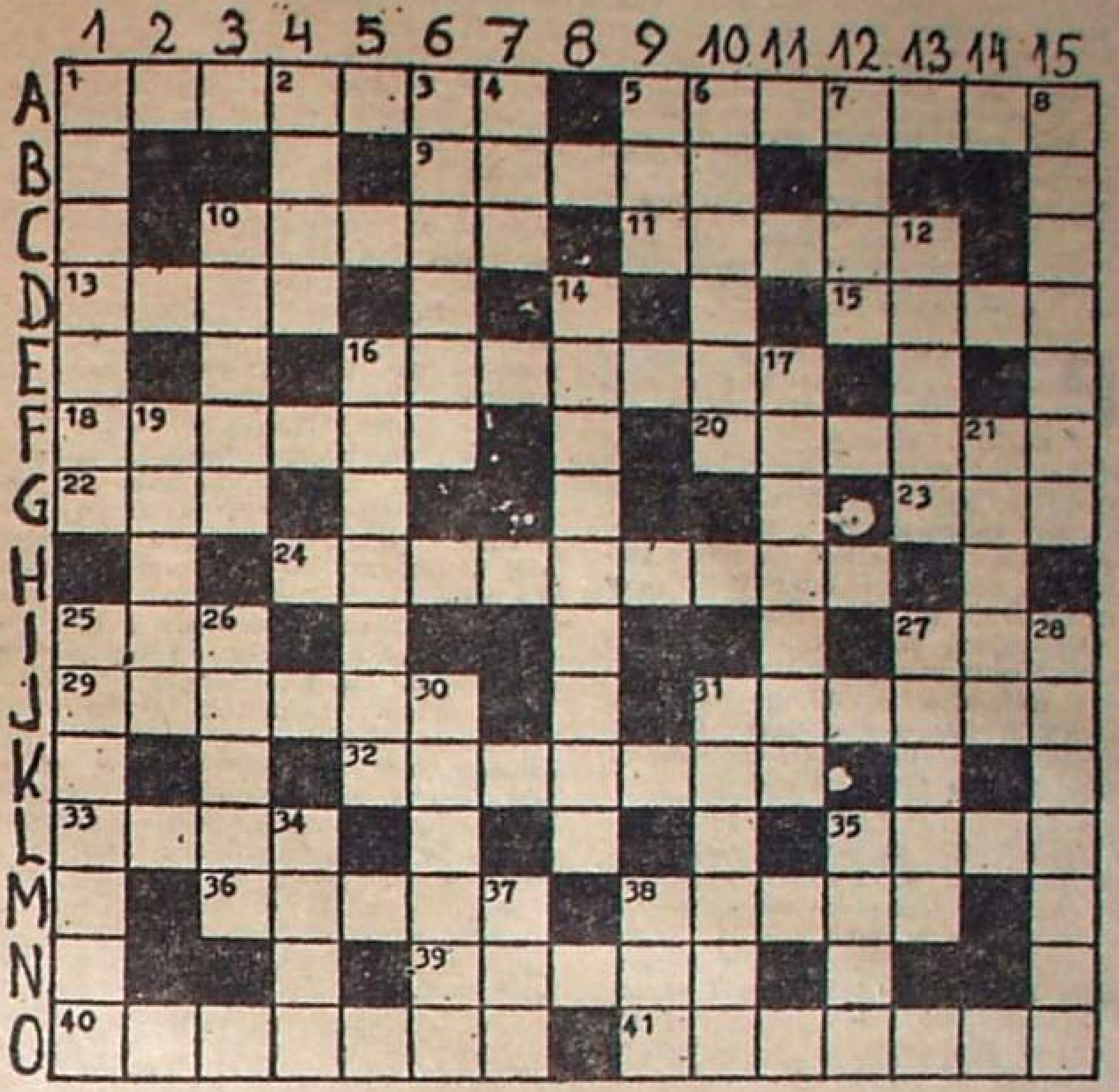

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy odczytać zaszyfrowane rozwiązanie — fragment książki współczesnego polskiego pisarza.

Wyrazy pomocnicze

Poziomo: 1. drewienko na rozpałkę, 5. fragment oczyszczalni ścieków, 9. wybrany, ale jeszcze nie pełniący funkcji, 10. XIX-wieczny fizyk angielski, którego nazwisko dało nazwę jednostce pracy, energii i ciepła, 11. kawon, 13. kawalerzysta, 15. pył, 16. utwór wątpliwego pochodzenia, 18. kolczasta roślina, 20. wschodni styl walki, 22. Sari, 23. stępka, 24. kwiat doniczkowy o wielkich baldachogronach kwiatowych, 25. nocny motyl, 27. kogut, 29. małżeństwo, 31. okna i drzwi, 32. dur lub moll, 33. wulkan na Sycylii, 35. rzecz nietykalna, 36. palma wysp Malajskich, 38. roztwór mydła do odkażania pomieszczeń, 39. państwo w Azji 40. rzeka w Ukr. SRR, nad którą wojska litewsko-ruskie uległy w 1399 r. Tatarom 41. skrytka.

Pionowo: 1. na niej nici, 2. śmierć, 3. syn Tantala, rzekomy inicjator igrzysk olimpijskich, 4. angielskie mocne piwo, 5. rzeka z historii Ludowego Wojska Polskiego, 6. mleczny wyrostek wymienia krowy, 7. mechaniczne powielanie, 8. symbolizuje przodków ze strony matki, 10. tanieją wiosną, 12. obraźliwie o zawodowym żołnierzu, 14. między półwyspami Jutlandzkim i Skandynawskim, 16. urządzenie samoczynne, 17. mieszkanie na poddaszu, 19. miasto w Etiopii, któremu zmieniono nazwę na Nazaret, 21. tytułowy bohater powieści Gajdara, 23. fabryka porcelany słynie, 26. cyrkowa scena, 27. wytwór morskich jamochłonów, 28. dzieło plastyka wykonane węglem, tuszem lub ołówkiem, 30. wczesny kwiat ogrodowy, 31. najbliższy wstępny, 34. grecki bóg wojny, 35. państwo w Afryce nad Zatoką Gwinejską, 37. na recepcie znaczy „w równych częściach", 38. drapieżnik w ładnym futrze.

Szyfr

E6. A7. B12. A13. C8. A1. D4. E15. C7. C3. F15. O4. B10. J1. N9. N4. K10. K15. A3. B6. I2. O9. E8. B15. G2. K7. M7. E3. D2. E5. F4. O1. M10. H8. H11. K6. C11. A10. B8. J14. J12. M12. O13. K11 I1. J6. J15. O10. G14. L1.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

Rozwiązanie krzyżówki nr 9 z szyfrem

Poziomo: Chabarowsk, muszla, księgarstwo, Krosno, kąpiel, zgrzyt, Bengal, noc, pogląd, kadi, zlot, rajtar, Aza, Rybnik, limfa, adonis, Trajan, Naruszewicz, sygnet, Odrodzenie.

Pionowo: smok, Oslo, plon, Hiszpania, Angola, wąsąg, porządek, róże, spąg, okular, złoty, rulon, Berolina, najem, Akaba, Czarnecki, porost, Bona, igła, talerz, fluor, Rzym, Juno, nuta.

Szyfr

„Nie wiem, czy pan ma piątą klepkę, ale na pewno ma pan szóstą."

Kazimierz Brandys
„Rondo"

Nagrodę otrzymuje Stanisław Gołociński, ul. Trześniowska 23, 20-139 Lublin.

ARCHIWUM MISTRZÓW ANEGDOTY

— Tego tygrysa zabiłem w Indiach — rzekł swego czasu do Balzaka gospodarz domu, pokazując skórę wiszącą na ścianie. — Musiałem wówczas wybierać: albo on, albo ja.

— Zrobił pan słuszny wybór — odparł pisarz — pan by tak nie zdobił salonu.

*

Pisarz Herman Suderman spotkał w pewnym uzdrowisku słynnego chemika Emila Fischera. Podchodzi więc do niego i powiada:

— Jakże jestem szczęśliwy, że mogę panu podziękować za niezwykły środek nasenny, jakim jest pański veronal. Nawet nie potrzebuję go zażywać. Wystarczy, gdy leży na moim nocnym stoliku.

— Dziwny przypadek — odrzekł Fischer — bo gdy ja nie mogę zasnąć, sięgam do którejś z pańskich książek. Działa niezawodnie. Wystarczy nawet, gdy ją ujrzę na moim nocnym stoliku.

Wyszperał Ryszard Dunin

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego) Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Stępień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Ewa Dybek korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—16.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.
PL ISSN 0137-7108. Nr indeksu 36281.
Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/1.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.
Zam. 903. 1.05.1984 r. L-4

LOT

Michał Rey

W końcu ubiegłego roku opinię publiczną Świdnika zbulwersował fakt uprowadzenia do Berlina Zachodniego samolotu „Jak 12" należącego do Aeroklubu Robotniczego. Zresztą zbulwersowani byli nie tylko mieszkańcy tego podlubelskiego miasta fabrycznego, ale członkowie Aeroklubu PRL w ogóle. Szczegóły tej eskapady pozostawały — ze względu na dobre prowadzonego śledztwa — nieznane, co dodatkowo potęgowało plotki i domysły, podbechtywane przez zachodnie radiostacje. Obecnie zaistniały okoliczności sprzyjające pełniejszemu przedstawieniu sprawy, co niniejszym czynimy.

PORYWANIE polskich statków powietrznych nie jest niczym nowym i dziś już nawet nie budzi sensacji komunikat PAP, że ktoś przy pomocy puszki po mielonce z wystającymi drutami i bateryjką spowodował zmianę kursu z Gdańska na Tempelhof. Piractwo lotnicze członków Aeroklubu PRL przy wykorzystaniu sprzętu tegoż aeroklubu jest czymś nieco innym i musi wzbudzać mieszane uczucia. W kontekście chociażby ostatniego sukcesu członków APRL w Pucharze Gordon Bennetta. Naturalnie nie tych samych członków! Tyle tytułem wstępu.

* * *

W dniach 21—23 października 1983 r. w Radawcu k. Lublina organizowane są zawody samolotowe i szybownicze. Startują w nich także piloci świdniccy. Jednym ze statków powietrznych, na których latają, jest szybowiec „Jantar", z tym jednak, że nie Aeroklubu Robotniczego, a Aeroklubu Leszczyńskiego. Skąd się wziął? Został pożyczony i na razie — mimo monitów z Leszna — nie oddawany. Przebieg zawodów nie jest dla nas istotny. Może tylko poza szczegółem, że spotykają się na nich m.in. Mirosław Kaczkowski, Krzysztof Lipiński, Andrzej Dyczewski — piloci szybowcowi oraz Lech Werner i Leszek Pikulski — piloci samolotowi. Są to młodzi ludzie, latający już po kilka lat, znający się dobrze ze Świdnika. I mający — jak się okaże — wspólne plany związane z lataniem, choć niekoniecznie o charakterze sportowym.

W Radawcu okazuje się ostatecznie, że „Jantar" ma zostać w najbliższy poniedziałek, 24 września, odholowany do Leszna przy pomocy „Jaka 12". Za sterami samolotu ma zasiąść Werner, szybowca — Kaczkowski.

Tymczasem w Lublinie, w sobotę 22 października, Dyczewski, który wcześniej wrócił z Radawca komunikuje żonie, że zamierza udać się na weekend do kolegi, do Trzebini. W tym celu pakuje nieco swoich rzeczy osobistych, a także ubranek swego czteroletniego synka, Jacka, który ma mu towarzyszyć w odwiedzinach. Żona nie protestuje, uważając, iż nawet taki wyjazd może być dla dziecka atrakcją.

W poniedziałek, 24 października, o godzinie 9 „Jak 12" ma startować z „Jantarem". Krótko po tej godzinie na lotnisko wpada podenerwowany Werner i oświadcza, że w jego mieszkaniu pękła rura wodociągowa i na głowie ma likwidowanie potopu, a nie lecenie do Leszna. Konsternacja trwa krótko. Okazuje się bowiem, że na terenie lotniska jest... Pikulski, który zresztą często tu nocował (przy czym nie zawsze i niekoniecznie sam, a zwykle i chętniej z koleżankami; zwłaszcza zaś z jedną — Wandą Budyń, koleżanką z jednego roku studiów). Oczywiście Pikulski okazuje się wybawieniem z kłopotu.

O godzinie 10.15 samolot z holowanym szybowcem wznoszą się w przestworza nad Świdnikiem. Pogoda jest bardzo dobra. O godzinie 12.05 „Jak 12" i „Jantar" lądują w Łodzi. Chodzi bowiem o uzupełnienie paliwa. Przy okazji Kaczkowski załatwia tam jakiś interes, o którym wcześniej opowiadał i przejawiał pewne zadowolenie, że lot ma się odbywać via miasto włókniarek i dymiących kominów. Konwój startuje ponownie i 15.35, osiąga lotnisko Aeroklubu Leszczyńskiego. Pogoda się jednak psuje.

Po oddaniu szybowca młodzi piloci świdniccy nalegają na powrót tego samego dnia. Dyspozytor lotów odmawia jednak ze względu na pogodę, czym wprawia Pikulskiego i Kaczkowskiego w niejakie zdenerwowanie. Z konieczności nocują w Lesznie.

We wtorek, 25 października, są na lotnisku bladym świtem, ale zgodę na start otrzymują dopiero przed samym południem i ostatecznie o 12.05 odrywają się od trawy leszczyńskiego aerodromu. Zgodnie z kierunkiem lotu, maszyna kieruje się na wschód, dość szybko nabierając wysokości. I tyle z Leszna.

W Bodzewie (gmina Piaski), 40 kilometrów od Leszna, chłop wielkopolski Jan Bijak robi w polu. W pobliskich krzakach coś się rusza. Budzi to jego ciekawość, ale dopiero po dłuższym czasie i przeanalizowaniu sytuacji ostrożnie rusza w kierunku zarośli, pokrzykując przyjaźnie. W krzakach zauważa dwóch mężczyzn z małym dzieckiem. Obok stoją torby podróżne. Chłop zagaduje, ale obcy nie odpowiadają. Cisza — jakby nie rozumieli po polsku. Bijak wraca do roboty pełen różnych myśli. Pracuje i spogląda w stronę krzaków. W pewnej chwili nad łąką pojawia się samolot. Jeden z siedzących w krzakach mężczyzn wybiega z dużą czerwoną płachtą i zaczyna machać. Samolot zatacza nad łąką dwa koła, po czym schodzi do lądowania i pomyślnie „siada" na ziemi. Mężczyźni łapią swoje bagaże i biegną do maszyny. Za nimi — dzieciak. Pakowanie nie trwa dłużej niż pięć minut. Samolot nie wyłącza nawet silnika. Kiedy ostatni mężczyzna znika w kabinie — aeroplan startuje. Kierunek lotu: Gostyń.

O godzinie 14.25 pojawia się w polu widzenia wieży kontrolnej lotniska US Air Force w berlińskiej dzielnicy Tempelhof, po czym spokojnie ląduje. Pasażerowie zostają zapakowani do oddzielnych samochodów i odjeżdżają. Maszyna zostaje na pasie. Po kilku dniach przekażą ją stronie polskiej i powróci — z inną załogą — do kraju. W programie nocnym Głos Ameryki poda, że z Lublina, po brawurowym i niebezpiecznym locie, udało się uciec czwórce mężczyzn i dziecku. Jak podawano, pilot miał być pracownikiem naukowym jednej z lubelskich uczelni. De facto, był ledwie „nie dokończonym" absolwentem.

W Świdniku nie chciano uwierzyć w to, co się stało. Szok był zupełny. Na razie wiedziano, że zwiali: Pikulski i Kaczkowski. Leszek Pikulski, student ostatniego roku Wydziału Pedagogiki i Psychologii UMCS, 26-latek, stateczny, odpowiedzialny, dobry pilot. We środę, 26 października, miał bronić pracę magisterską. Zamierzał się żenić... Kto by przypuszczał, że da taki „numer"? — pytano.

Mirosław Kaczkowski, lat 23, absolwent szkoły przyzakładowej WSK, spokojny, lubił latać. Ostatnio zatrudniony w Zakładzie Tapicerki Samochodowej, a od 4 maja — nigdzie (na utrzymaniu samotnej matki). Kto by sądził? — pytano.

W Świdniku pytano, a Aeroklub PRL zawiesił wszystkie loty AB i AL oraz powołał specjalną komisję do badania sprawy i weryfikacji pilotów z tych aeroklubów.

Lubelski WUSW ustalał natomiast personalia pozostałych pasażerów. Ponieważ w okolicy lądowiska w Bodzewie, w krzakach, gdzie siedziało dwóch mężczyzn z dzieckiem, znaleziono butelkę po oranżadzie z nalepką prywatnej wytwórni w Lublinie, uznano, iż muszą to być ludzie — stąd. Muszą znać się z Pikulskim i Kaczkowskim. W tym kręgu szukano...

Heinrich Franke, nowy przewodniczący Federalnego Urzędu Pracy, podał, że w marcu br. liczba bezrobotnych w RFN wyniosła 2 393 251. Jest to najwyższa liczba bezrobotnych w okresie powojennym. W grudniu ub. r. związek lekarzy wyraził zaniepokojenie z powodu obniżenia się liczby zgłoszeń o zwolnienia chorobowe, uznając to za ukryty stan chorobowy z obawy przed zwolnieniem z pracy, albo przeniesieniem na wcześniejszą emeryturę.

Ocenia się, że w RFN istnieje jeszcze tzw. „cicha rezerwa" bezrobotnych, nie wykazywana w statystykach. Oblicza się ją na 900 tysięcy osób. Oznacza to, że faktyczna liczba bezrobotnych dochodzi do 3,4 miliona.

Najpierw okazało się, że w robocie nie ma od dwóch dni montera LPRInż. Andrzeja Dyczewskiego. Niepokoiła się też także o niego a głównie o czteroletniego Jacka ich żona i matka. Dyczewski, w odróżnieniu od dwóch wymienionych, nie miał już tak kryształowo czystej opinii. Często zmieniał pracę, pił. Ostatnio, ze względu na stan zdrowia, zabroniono mu latania w ogóle. Ów właśnie 30-latek okazał się trzecim uczestnikiem lotu. Siłą faktu — czwartym był syn Jacek. Kiedy nie było już co do tego wątpliwości, kobieta doznała szoku psychicznego. Porwanie Jacka przez męża było jedną z niewielu rzeczy, jakich mogła się po nim spodziewać. Obecnie matka chłopca czyni dramatyczne wysiłki, aby go odzyskać, na co z kolei nie godzi się ojciec.

Po pewnym czasie ustalono także personalia ostatniego z piątki, Krzysztofa Lipińskiego. Był najmłodszym z całej ekipy. Miał 19 lat, ukończył zawodówkę i uczył się w technikum wieczorowym. Mieszkał z rodzicami. Cieszył się dobrą opinią. Podobno rokował spore nadzieje jako pilot szybowcowy.

Naturalnie żaden z wymienionych nie był karany ani sądownie, ani administracyjnie, przez kolegium ds. wykroczeń.

W toku postępowania operacyjnego i procesowego ustalono, że od kilku miesięcy w mieszkaniu Dyczewskiego spotykali się Lipiński, Kaczkowski i Werner. Rzadziej — Pikulski. O czym rozmawiali? Czy planowali ucieczkę? Nie wiadomo. Pewne jest natomiast, że była ona możliwa tylko dzięki takiemu akurat, a nie innemu zbiegowi okoliczności: lot do Leszna i stąd dalej — do Berlina. Na przelot z Lublina po prostu nie starczyłoby paliwa. Nie wystarczyłoby go także z Łodzi. Możliwość skutecznego przeprowadzenia zamiaru dawał tylko start z Leszna, a ten się nadarzył, bo trzeba było odholować szybowiec.

Pewne wątpliwości budzi obecność w tym towarzystwie Leszka Pikulskiego. Czy tak działa człowiek, który za dwa dni ma bronić magisterium, żenić się? Czy „wszedł" zatem do tego interesu przypadkowo (bo był pod ręką, kiedy nawalił Werner)? Czy został wtajemniczony i przekonany już w trakcie lotu do Leszna przez Kaczkowskiego? Pytania te pozostaną bez odpowiedzi. Podobnie jak i to, czy Wernerowi przeszkodziła w locie do Tempelhof pęknięta rura, czy po prostu skrewił. Jeśli zaś skrewił, to dlaczego nie powiadomił nikogo o zamiarze? Oryginalne wydaje się także zachowanie chłopa Bijaka, który rozwój akcji na łące przyjmował ze stoickim spokojem, nie dzieląc się wątpliwościami. Wszystko to nie doczeka się szybko wyjaśnienia.

Jak by było, wszyscy uczestnicy lotu wyrazili chęć pozostania na Zachodzie, a wniosek o ekstradycję, z jakim wystąpiła strona polska, został odrzucony.

Na zakończenie jeszcze tylko jeden szczegół. Aby uniknąć kontroli radarowej i ewentualnych prób „zniechęcenia" do porwania maszyny, pilotowano ją na wysokości około 50—70 metrów nad ziemią. Nie potrzeba specjalnej wyobraźni, aby domyślić się czym się ta „zabawa" mogła skończyć w przypadku błędu pilota. No, ale to już pozostawiam Czytelnikom, przede wszystkim zaś rodzinom „załogi" świdnickiego „Jaka 12"...

Jak się dowiadujemy, Aeroklub PRL podjął kroki, aby w przyszłości podobne przypadki nie miały miejsca. I słusznie, bowiem i „Kamena" jest zdania, że aerokluby powinny służyć do nauki latania pod polskim niebem. Niezależnie od warunków meteorologicznych...

PS. Nazwiska osób występujących w tym artykule zostały zmienione ze względu na dobro ich rodzin.

Życie towarzyskie i uczuciowe

Wielki świat

SPRAWA wygląda mało poważnie. Zupełnie, jakby dowcipniś wymyślił superżart primaaprilisowy i zapomniał, że dzień robienia kawałów trwa tylko kilkanaście godzin...

Zaczęło się 1 kwietnia właśnie, w niedzielę. W Sali Kongresowej radiowa „Trójka" i Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe — Zakład Imprez Estradowych (dyr. Krzysztof Materna) zorganizowały wielki koncert idoli muzyki rockowej z okazji setnego wydania Listy Przebojów Programu III Polskiego Radia. Najdziwniejsze było zaś to, że impreza odbyła się z dwutygodniowym „poślizgiem", czyli jakby bez wyraźnego powodu. Młodym fanom rocka zapadnie zapewne w pamięci z jednej tylko przyczyny: bilet na to rockowisko kosztował 600 złotych!

Za kulisami byli wszyscy! Za to na estradzie frekwencja słabsza. Bo niby i „Lady Pank", i „Republika", i „Lombard" słabiutki nad pojęcie, ale — Urszula już tylko z playbacku, a od „Budki Suflera" już jedynie telefoniczne pozdrowienia z Budapesztu.

Jeszcze gorzej było na widowni. Małolaty, od czteroletnich pacholąt poczynając, a na redaktor Zawadzkiej z „Zapraszamy do Trójki" (w lisach?) kończąc, ryk, wrzask i transparent: „REPUBLIKA to śmieć!". Na dobrą sprawę nikt nie wiedział, po cholerę koncert został zorganizowany, skoro nikomu nie chciało się śpiewać, także zająć się reżyserią oraz konferansjerką czyli słowem wiążącym kolejne „kawałki"?

W następnym tygodniu w gazetach rozpętała się „Operacja: LATO". Nie chodziło o zbliżającą się porę roku, tylko o piłkarza Grzesia Lato, który na stadionie Legii w meczu z Belgami miał zakończyć piękną reprezentacyjną karierę. Bilety — jak wyżej — po 600!

Akcja niby piękna: Lato, jakby nie było, bohater narodowy i należą mu się odpowiednie hołdy. Tyle tylko, że organizatorzy zapomnieli, iż do organizacji hucznej imprezy piłkarskiej potrzebni są — drobiazg — piłkarze! Tymczasem w Polsce już od roku piłki nożnej nie ma! Powtarzam: nie ma. Jest PZPN, jest liga, jest czterech trenerów-selekcjonerów z Piechniczkiem na czele, tylko futbol gdzieś wyemigrował. To wcale nie jest złośliwość. To najszczersza prawda. Gdyby reprezentacja miała w najbliższym czasie zmierzyć się w ważnym spotkaniu (o jakieś mistrzostwo, czy awans, na przykład) z Maltą, albo z Andorrą, że nie wspomnę o Islandii, i to na własnym boisku, musielibyśmy drżeć o końcowy rezultat. Osobiście nie pamiętam czasu, kiedy nasz futbol był aż w tak głębokim dole!

Ale na trybunach stadionu było przyjemnie. Znacznie przeważająca wielość pijaków skutecznie zagłuszała mniejszość markotnych trzeźwych racami śmiechu, kiedy nasi przejmowali piłkę a już osobliwie laureat tej benefisowej imprezy. No, nasi po prostu w ogóle nie grali! Belgowie przywieźli skład rezerwowy (bo ich najlepsi siedzą w więzieniu za finansowe machlojki), a i tak grali z trzódką Piechniczka w popularnego „dziada".

Już po meczu dowiedziałem się, że przegraliśmy ten mecz, bo nie grał Furtok, który teraz podobno najlepiej kopie. Ale tym razem Furtokowi dokopali i czasowo przebywa w gipsie.

Zresztą co ja będę nadawał o futbolu do Lublina, gdzie w kolejnym tygodniu niedoszli olimpijczycy piłkarscy grali (?) z Duńczykami...

Tymczasem prasa zajęła się nową akcją. Oto już za chwilę miała się nam pokazać nowa Miss Polonia!

Tylko głupi uwierzy, że to jest impreza dla pań i o paniach. Tak naprawdę, to jest cyrk z facetami w rolach głównych. Przeszczepu — tych mało istotnych dla kraju wyborów — dokonał na grunt polski niejaki pan Cejrowski, szef Stołecznej Estrady. Ale tuż po pierwszej elekcji odebrali mu tę złotą żyłkę żurnaliści „Expressu Wieczornego", którzy pod nowym kierownictwem wyprowadzają tę gazetkę na całkiem nowe tory. Czego się zresztą można było, i należało, spodziewać!

„Express" postanowił zdetronizować pannę Wasiak ze Szczecina już po ośmiu miesiącach, żeby zdążyć z wyrobieniem paszportów dla osób towarzyszących nowej Missce na jeden, albo na dwa konkursy światowe. A póki co przekonywał nas, że to jest najważniejsza sprawa dla obywateli PRL tej zwariowanej wiosny.

Nic zatem dziwnego, że prawie nie zauważony przewędrował przez szpalty gazet krótki komunikat GUS-u o tym, że — ale, niestety — z wynikami gospodarczymi I kwartału nie jest najlepiej, ani nawet dobrze. Cóż to jest jednak za wiadomość?! Co z tego, że kasza gryczana na powrót będzie po cenach regulowanych?! Kto żyw, szykuje się na wielki bal „Miss Polonia" (a 13 tys. zł). Bo też przecież jest co świętować.

— Nigdy nie zrozumiem Polaków — powiedział na lotnisku Okęcie przedstawiciel konsorcjum banków zachodnich, i odleciał do domu z nowym kwitem ministra Nieckarza w teczce — dyplomatce, albo — jak mawiają złośliwi — „pedałówce".

To już, mniej więcej wiadomo dlaczego nie chciał zostać na balu, wybulić dwanaście patyków, żeby się choćby pogapić na naszą Najpiękniejszą. Raz jeszcze daliśmy zachodniakom w dupę i udowodniliśmy, gdzie jest pępek wielkiego świata.

Janusz Atlas